

Syndrom wdów

rozpacz żon i radość wyrwanych morzu

str. 5, 6, 7

Irena Kwiatkowska

nazwisko to mówi samo za siebie str. 8-9

Świat okablowany

tylko sieć czy już matnia Internetu? str. 11

Magister masażu

ezoterycznego czyli astrolog dyplomowany str. 15

WOJEWÓDZKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA
Biblioteka Główna
80-806 Gdańsk, Targ Rakowy 5/6
tel. 81-4241114

Piątek, 21 lutego 1997 r.

Nr 44 (15900) Rok LII ISSN 0137/9062 indeks 350028

Nakład 171 tys. egz

DZIENNIK BAŁTYCZNY
magazyn

Rejsy

10 58242



Fot. CAR/PAP

Po drugim procesie
O.J. Simpsona
- puszczony
z torbami?

str. 15

Listy

Ofiara kodeksu pracy

Szanowna Redakcjo! Będąc świeżo upieczoną ofiarą (bardzo dobrego dla pracodawcy) nowego kodeksu pracy oraz dobita znowelizowaną ustawą o zatrudnieniu i przeciwdziałaniu bezrobociu, chciałabym przedstawić swój przypadek jako przykład wprowadzania w życie ustaw twórców, którzy, wydaje mi się, nigdy nie spodziewają się być pracownikami niższego niż ministerialny szczebla.

I tak słynny punkt nowego kodeksu pracy, w którym zobowiązuje się pracodawcę do zawierania trzeciej umowy o pracę na czas nie określony, u mnie w zakładzie, a mniemam, że nie tylko, zawodził po 15 miesiącach pracy nieprzedłużeniem mi umowy w ogóle. Od czerwca byłaby to umowa trzecia. Powiedziano mi wprost, że gdy oczekam przewidziany w przepisach miesiąc, lub

dla przyzwoitości dwa, to są zainteresowani ponownym moim zatrudnieniem. Nadmieniam, że przez cały czas uważano mnie za dobrego pracownika i łudzono, z umowy na umowę, że zawrą ją ze mną na stałe. Ponieważ jednak wiadomo, że zatrudnienie na czas określony jest milsze (trzymam się pracownika w nieustannym szachu) i nieobowiązujące, twierdzenia takie, jak dziś wiem, były tylko grą. Mniej więcej na miesiąc przed upływem mojego terminu zatrudnienia, zatrudniono nowego pracownika, o co na wygodniejszym rynku pracy nietrudno, i jak należy się domyślać, będzie się prowadzić sukcesywną wymianę osób zatrudnianych na czas określony.

Czy twórcy ustawy nie byli w stanie przewidzieć, że gdy popyt na pracę przewyższa podaż, to takie rozwiązanie dla pracodawcy jest najłatwiejsze? Oczywiście wiadomo, że wysokiej klasy specjalistów to zupełnie inny temat - ja piszę o szarych szeregach ludzi chcących dostać pracę, którymi teraz można jeszcze lepiej manewrować.

Udałam się do rejonowego urzędu pracy, aby zarejestrować się jako osoba bezrobotna. Poinformowano mnie, że nie tylko nie otrzymam zasiłku, ale także w myśl nowo wchodzącego uzupełnienia do ustawy o bezrobociu (od 1.01.1997) nie mam prawa być także osobą bezrobotną!!! A dlaczego?

Dlatego, że będąc właścicielką domu jednorodzinnego (starsi rodzice przepisali go na mnie) osiągam dochód z wynajmu części piwnicy w wysokości 300 zł brutto, netto, po odjęciu podatku dochodowego i automatycznie zwiększonego podatku od nieruchomości, daje to ok. 100 zł. Mój dochód liczy się jednak brutto 300 zł. Nieważne jest, że prowadzę z rodzicami wspólne gospodarstwo i jestem zobowiązana do utrzymywania domu, w którego aktach wpisana jest tzw. służebność mieszkalna na ich rzecz. Pomijając już problem prawa do zasiłku (co bynajmniej nie jest bez znaczenia) zastanawia mnie fakt, jak można było poprzez dodanie do art. 2 ust. 1 pkt 2 litery dodatkowej i) w brzmieniu:

zmienić definicję osoby bezrobotnej. (Zmiany do ustawy z 14 grudnia 1994 w ustawie z 6 grudnia 1996 - DZIENNIK USTAW nr 147.) Oznacza to, że nie mając pracy, a osiągając mój zawrotny dochód, liczony oczywiście brutto, nie mam prawa być bezrobotną, tzn. pozabawia się mnie nawet tych minimalnych praw, które takiej osobie przysługują (przeszkolenie, kredyty itp.). Ja osobiście nie wiedziałam, że nagle dochód może być jednoznaczny z pracą.

Tym jednym dodatkowym punktem do odpowiedniego art. ustawy jw. obniża się w sposób doskonały bezrobocie w danym regionie, a dalej, co wiadomo, można też w zależności od sytuacji wypłacać zasiłek wszystkim innym zaliczonym do bezrobotnych, w krótszym terminie (im mniejsze bezrobocie, tym krótszy termin wypłacania zasiłku). To się nazywa wspaniała gospodarka kapitałowo-rynkowa z ochroną interwencyjną państwa dla grup społecznie najbardziej zagrożonych. Nie mogąc się utrzymać z sumy ok. 100 zł miesięcznie, nie mam prawa także ubiegać się w MOPS o zasiłek dla ubogich (wynosi dla osoby samotnej 275 zł), ponieważ według MOPS jestem już osobą prowadzącą wspólne gospodarstwo domowe z moimi rodzicami.

I tak z punktu widzenia urzędu pracy jestem osobą samotną, osiągającą dochód nie upoważniający mnie nawet do bycia osobą bezrobotną, a z punktu widzenia MOPS - osobą żyjącą we wspólnym gospodarstwie domowym z rodzicami - tym samym skazaną na ich utrzymanie, dopóki nie znajde pracy.

Maria Ł.,
Gdańsk

Poszukuję księdza

Poszukujemy informacji o życiu księdza Mariana Góreckiego, który przebywał w Gdańsku przed II wojną światową i zginął na początku wojny. Wiadomo nam, że jego

Na pewno więcej ludzi chciałoby mieć informacje o patro-
nie ulicy Gdańska, dlatego pro-
simy o to na łamach „Rejsów”

Niedawno dowiedzieliśmy się, że w Gdańsku Nowym Por-

Order Wiatra

Minister Wiatr otrzymał od prezydenta najwyższe odznaczenie tj. Orderu Budowniczego Polski Ludowej.

(nazwisko i adres do wiadomości redakcji)

nia Restituta klasy. Dlaczego wszystkie media, a także „Dziennik Bałtycki”, przemilczały to tak przecież ważne wydarzenie. Czyżby cenzura, a może wstyd za prezydenta?

Myślę, że minister Wiatr wart był najwyższego odznacze-

Gratka

DZIENNIK BAŁTYCKI

SOBOTA, 1.03.

CO ZROBIĆ

żeby Twoje ogłoszenie drobne ukazało się ZA DARMO?

- Kup "DZIENNIK BAŁTYCKI"**

- Wytnij kupon**

- 3** → Wrzuć wypełniony kupon do skrzynki „Gratki” lub

- wyslij pocztą lub
→ przeslij faksem (0-58) 35-48-69 (czytelnie
wypełniony) tak, aby trafił do czwartku, do godz. 17.00
do Biura Ogłoszeń lub skrzynki "Gratki"

- 4** Ogłoszenie ukazuje się w „Gratce”
- dodatku do „DB” za darmo

KUPONY MOŻNA WRZUCAĆ do skrzynki „Grafik”:
Gdańsk, Centralne Biuro Ogłoszeń:
80-888 Gdańsk, Targ Drzewny 3/7,
Gdańsk, ul. Eblejska. (przy targowisku),
Gdańsk, Dworzec Gł. PKP, (tunel PKP),
Gd.-Wrzeszcz, ul. Partyzanów, (przy wejściu na Minihattan),
Gd.-Wrzeszcz, stacja PKP (tunel PKP),
Gd.-Wrzeszcz, ul. Bałta, rog. ul. Wyspiańskiego, (przy targowisku),
Gd.-Wrzeszcz, ul. Dębinki (przy wejściu do Szpitala Klinicznego nr 1),
Gd.-Oliwa, stacja PKP (w tunelu),
Gd.-Przymorze, ul. Chłopska (przy targowisku),
Gd.-Zaspa, ul. Janina Pawła i (przy głównym wejściu do szpitala),
Gd.-Zaspa, ul. Rzeszowskiej (przy ETG - trycy),
Gd.-Chleń, Centrum Handlowe (sokół poczy), Zielonych Dębików Gd.,
Gd.-Hutnica, Centrum Handlowe (sokół poczy),
Sopot-Bordowa, pasaż centrum handlowego
Gdynia, Biuro Ogłoszeń, ul. Wydeławska IV 17,
Gdynia, Biuro Ogłoszeń, ul. Świeżyńskiego 14 b,
Gdynia, Dworzec PKP (Gdynia Gł. Os. - wejście gł.),
Gdynia, ul. Morska (zajście do tunelu PKP),
Gdynia-Grabówek, ul. Morska 107 (ciąg handlowy),
Gdynia-Ołow, Trójmiejskie Centrum Handlowe „KUF”,
Gdynia-Chylonia, Dom Towarowy „CHYLONIA”,
Sopot, Biuro Ogłoszeń, ul. Kołkości 6/1,
Sopot, Stacja PKP (Kasy SKM),
Pruszcz Gdański, Biuro Ogłoszeń, ul. Tysiąclecia 8,
Pruszcz Gdański, na deptaku przed tunelem stacji PKP,
Tczew, Biuro Ogłoszeń, ul. 1 Maja 4,
Tczew, Stacja PKP (wejście główne),
Reda, Stacja PKP (przy wejściu na perony),
Rumia, Stacja PKP (przy wejściu na hol dworca i perony),
Starogard Gdański, Biuro Ogłoszeń, ul. Bastowa 3,
Wejherowo, ul. Sobieskiego 227,
Wejherowo, Stacja PKP (przy wejściu na perony)

spis rubryk i podrubryk

- | | | | |
|--|-------------------------------|---|--------------------------------|
|  | 1 AUTO-MOTO |  | 9 NARZĘDZIA |
| 1A sprzedam samochód osobowy | | 9A sprzedam | |
| 1B sprzedam samochód ciężarowy | | 9B kupię | |
| 1C sprzedam motocykl | |  | 10 MATERIAŁY BUDOWLANE |
| 1D sprzedam przyczepę | | 10A sprzedam | |
| 1E sprzedam części zamienne | | 10B kupię | |
| 1F Autohandel proponuję | | 10C usługi | |
| 1G kupię samochod | |  | 11 TURYSTYKA I SPORT |
| 1H kupię inny pojazd | | 11A sprzedam sprzęt | |
| 1I kupię części zamienne | | 11B kupię sprzęt | |
| 1K wymienię samochód | | 11C wypożyczę | |
| 1L wymienię inny pojazd | | 11D przejadzę | |
| 1L skradziono | | 11E serwis | |
| 1M usługi motoryzacyjne | |  | 12 ZDROWIE |
| 1N taxi | | 12A sprzedam | |
| 1O przewoży | | 12B kupię | |
| 1P autostop | | 12C usługi medyczne | |
| 1R wypożyczalnie samochodów | |  | 13 ODBIEŻ |
| <i>Uwaga: w rubryce przyjęto następujące skróty:</i> | | 13A sprzedam | |
| AA - autoułam | | 13B kupię | |
| AF - aluminiowe felgi | |  | 14 NAUKA |
| CZ - centralny zamek | | 14A oferuję | |
| EL - elektryczne lustro | | 14B poszukuję | |
| ES - elektryczne szyby | |  | 15 KSIĄŻKI I CZASOPISMA |
| EW - elektroniczny wtyk | | 15A sprzedam | |
| H - hak | | 15B kupię | |
| K - klimatyzacja | | 15C wymienię | |
| R - radio | |  | 16 ZWIERZĘTA I ROŚLINY |
| KT - katalizator | | 16A sprzedam zwierzęta | |
| AS - automatyczna skrzynia biegów | | 16B sprzedam rośliny | |
| BS - blokada skrzyni biegów | | 16C kupię zwierzęta | |
| I - immobilizer | | 16D kupię rośliny | |
| SP - spoilery | |  | 17 FOTO |
| WS - wspomaganie | | 17A sprzedam | |
|  | 2 PRACA | 17B kupię | |
| 2A poszukuję pracy | | 17C wymienię | |
| 2B dam pracę | | 17D usługi | |
|  | 3 NIERUCHOMOŚCI - DOM |  | 18 MUZYKA |
| 3A sprzedam mieszkanie | | 18A sprzedam | |
| 3B sprzedam dom | | 18B kupię | |
| 3C sprzedam domek letniskowy | | 18C wymienię | |
| 3D sprzedam inny lokal | | 18D usługi | |
| 3E sprzedam działkę budowlaną | |  | 19 HOBBY |
| 3F sprzedam działkę ogrodniczą | | 19A sprzedam | |
| 3G sprzedam inną parcelę | | 19B kupię | |
| 3H kupię mieszkanie | | 19C wymienię | |
| 3I kupię dom | |  | 20 RÓŻNE |
| 3J kupię inny lokal | | 20A sprzedam | |
| 3K kupię działkę budowlaną | | 20B kupię | |
| 3L kupię działkę ogrodniczą | | 20C zgubiłem | |
| 3L kupię inną parcelę | | 20D biznes | |
| 3M wymienię mieszkanie | | 20E lombardy | |
| 3N wymienię działkę lub inną parcelę | |  | 21 MATRYMONIALNE |
| 3O poszukuję mieszkania | | 21A szukam partnerki | |
| 3P poszukuję innego lokalu | | 21B szukam partnera | |
| 3R odnajmę mieszkanie | | 21C biura matrymonialne | |
| 3S odnajmę inny lokal | | 21D inne | |
| 3T pośrednictwo | |  | 22 ODDAM ZA DARMO |
|  | 4 WYPOSAŻENIE MIESZKAŃ |  | 23 PROSZĘ O POMOC |
| 4A sprzedam | |  | 24 ŻYCZENIA |
| 4B kupię | | 24A z okazji imienin | |
| 4C serwis | | 24B z okazji urodzin | |
|  | 5 AGD | 24C inne pozdrowienia | |
| 5A sprzedam | |  | 25 HYDE PARK |
| 5B kupię | | 25A między nami | |
| 5C serwis | | 25B jak Fan z Fanem | |
|  | 6 RTV | 25C kibic ma głos | |
| 6A sprzedam | | 25D spotkajmy się | |
| 6B kupię | | | |
| 6C wymienię | | | |
| 6D serwis | | | |
|  | 7 BIURO | | |
| 7A sprzedam | | | |
| 7B kupię | | | |
| 7C wymienię | | | |
| 7D serwis | | | |
|  | 8 KOMPUTERY | | |
| 8A sprzedam komputer | | | |
| 8B sprzedam inny sprzęt komputerowy | | | |
| 8C kupię sprzęt komputerowy | | | |
| 8D sprzedam sprzęt komputerowy | | | |
| 8E serwis | | | |

1.03.

Gratka

TYKO DLA OSÓB. PRYWATNYCH

- bezpłatny kupon -

uprawniony do jednego ogłoszenia drobnego w dniu

Treść

Adres i telefon kontaktowy:

Wynił kupon - **1** wzięcie do skrzynki „Gratki” lub **2** prześlij pocztą pod adresem 80-886 Gdańsk, Targ Dzielny 3/7 Centralne Biuro Ogłoszeń „Dziennika Bałtyckiego” lub **3** prześlij faksem nr (0-58) 35-48-69, 31-50-41 w. 215.

*** TYKO DLA OSÓB. PRYWATNYCH**

****** - W TREŚCI OGŁOSZENIA DO PODRUBRIKI OBNIAJĄCEJ SPRZEDAŻ NAPIJEKÓW PODAĆ CENĘ
 - WSZYSTKIE CENY W NOWYCH ZŁOTYCH POLSKICH
 - OGŁOSZENIA W RUBRYKACH: ODDAM ZA DARMO I PROSZĘ O POMOC MOŻNA NADAĆ
 TYKO OSOBIŚCIE W BIURACH OGŁOSZEŃ
 - W OGŁOSZENIU PODAĆ: MIEJSCOWOŚĆ, ADRES, NUMER TELEFONU
 - BIURO OGŁOSZEŃ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO ZREDAKOWANIA I KLASYFIKOWANIA
 OGŁOSZEŃ I LUB JEJEGO NIEZAMIESZCZENIA.

Do wiadomości biura ogłoszeń

Nie zapomnij!

numer dowodu osobistego adres imię i nazwisko telefon podpis 61

o tym
się mówi

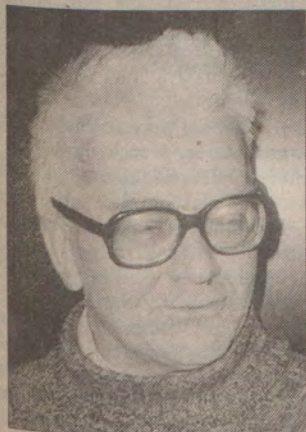
Co sądzisz o lustracji?



Bolesław Antoni Fac, pisarz z Wrzeszcza

- Życiorysy osób zajmujących publiczne funkcje nie powinny zawierać tajemnic. Podstawową zasadą lustracji winien być dostęp do wiarygodnych źródeł. Do materiałów gromadzonych w przeszłości przez SB muszą mieć dostęp nie tylko politycy, ale wszyscy obywatele.

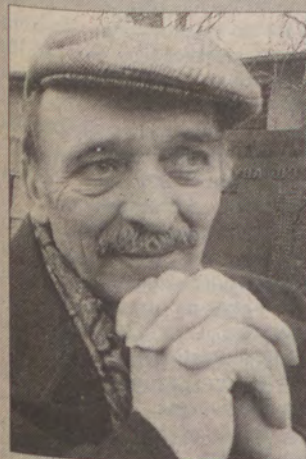
Fot. Jarek Rybicki



Andrzej Marszałkowski, nauczyciel z Kartuz

- Jest konieczna, aby osoby niewinne nie były oskarżane o współpracę z bezpieką, czy innymi służbami. W tej chwili wszystko działa na zasadzie „łap złodzieja”. To znaczy - utajniony oficer bezpieki (o którym nawet żona nie wiedziała, że pracował w czymś takim) uważany jest za „czystego”, bo nie należał do PZPR. Zdarza się, że taki oficer oskarża osoby, które były w PZPR, ZSL, PAX, czy innych tego typu organizacjach.

Fot. Kazimierz Netka



Szymon Pawlicki, aktor z Gdyni

- Bez rzetelnego sprawozdania, kto kim był i kim jest - bez podsumowania przeszłości, nie ma co marzyć o uczciwym i solidnym patrzeniu w przyszłość. Jeśli nawet, ktoś z jakichś powodów, w przeszłości „się ubabrał” - to może mieć okazję do refleksji. W końcu lustracja to nie Sąd Ostateczny.

Fot. Bogusław Nieczulski



Joanna Pietniun, studentka psychologii UG

- Jest niezbędna. Mamy prawo wiedzieć, co w przeszłości robiły osoby, które zajmują publiczne stanowiska. Jeśli ktoś w przeszłości współpracował z SB lub innymi służbami, to może być przez te służby szantażowany, zwłaszcza gdy będzie zajmować ważne publiczne stanowisko. Podczas głosowania w wyborach parlamentarnych, chciałabym wiedzieć, czy kandydat, ubiegający się o mandat parlamentarzysty nie współpracował z SB, UB.

Fot. Barbara Madajczyk-Krasowska

magazyn Rejsy

21 lutego 1997



Fot. Maciej Kosycarz

Zapraszamy na łamy

Astronauci Mark Lee i Steve Smith wyszli w nocy z poniedziałku na wtorek po raz ostatni z wahadłowca Discovery w otwartą przestrzeń kosmiczną, by zakończyć prace naprawczo-renowacyjne orbitalnego teleskopu Hubble'a. Dodatkowe wyjście w kosmos - jakieś 600 km nad nami - odroczyło o jeden dzień (do środy) wypuszczenie na orbitę teleskopu. W chwili zamykania tego numeru „Rejsów” załoga Discovery wracała na Ziemię; gdy się ukaże, amerykańscy astronauta będą już na przylądku Canaveral. Drugi temat globalny dziś - to świat okablowany siecią światłowodów. Bywają sieci kończące się matnią - czy grozi to ludzkości? A nawet jeśli grozi - czy wyrzeknie się dobrodziejstw komputeryzacji? „Nie ma jutra bez komputra” - tak orzeka najnowsze porzekadło.

A co grozi - w skali krajowej - Polsce, jeśli nadal spowalniane będzie tempo gospodarki? - pytamy Leszka Balcerowicza. - Najbardziej właśnie to: malejące tempo wzrostu i rosnące bezrobocie. A na rynek pracy będą w najbliższych latach wstępować wyjątkowo liczne roczniki. Ten, kto zahamuje przemiany gospodarcze w Polsce, będzie sprawcą dramatu młodego pokolenia. - Nie są to zbyt katastroficzne słowa? - dociekamy. - Z pewnością nie. Myślę, że mamy za małą świadomość tego zagrożenia. Nie zdajemy sobie sprawy, o jak wielką gramy stawkę. Tako rzecz Balcerowicz.

Idzie ksiądz po kołędzie - co to będzie, co to będzie? Zależy gdzie. W Osieku, na przykład, w parafii św. Rocha (skala jak najbardziej lokalna) nieprzyjęcie księdza grozi znalezieniem się na liście w gazetce. Jak najbardziej parafialnej. Niemniej, jeśli zważyć, że tam się tego lata odbył zlot czarownic Cejrowskiego pod hasłem „Ciemnogród' 96” - to może rychło i kamienować będą - wieszczę pan G.

Od światłowodów do ciemnogródu. Taka skala.

Tadeusz Skutnik



Rys. Henryk Sówka

Rejsy

Redagują: Rita Krzyżaniak, Aleksandra Paprocka, Tadeusz Skutnik (kierownik).
Opracowanie graficzne: Krzysztof Ignatowicz, Studio BUM.
Stale współpracują: Piotr Dominiak, Aleksander Jurewicz, Grzegorz Kurkiewicz, Jerzy Samp, Janina Wieczerska.
Tel. 31-79-26; 31-50-41 w. 350, 351

Nasze Rozmowy

Najbardziej zagraża Polsce malejące tempo wzrostu i rosnące bezrobocie. A na rynek pracy będą w najbliższych latach wstępować wyjątkowo liczne roczniki. Ten, kto zahamuje przemiany gospodarcze w Polsce, będzie sprawcą dramatu młodego pokolenia.

Z Leszkiem Balcerowiczem, przewodniczącym Unii Wolności, rozmawia Leszek Biernacki



Fot. Robert Kwiatek

Własność i praca

- Przez ostatnie dwa lata, odkąd został pan przewodniczącym Unii Wolności, promował pan partię przez akcentowanie walorów jej programu. Czy ostatni spadek popularności Unii w sondażach oznacza, że ten program nie odpowiada polskiemu społeczeństwu?

- Byłby to zbyt pochopny wniosek. Nie należy formułować sądów na podstawie wahań sondaży. Byłoby niebezpiecznie z góry założyć, że ludzie w Polsce odrzucają dobre programy. Trzeba się starać, aby te programy atrakcyjnie przedstawiać. To w Unii Wolności będziemy robić. Jeszcze o jednym trzeba pamiętać, że jest rytm budowania organizacji, że nieustannie trwa wyścig z czasem. Normalnie potrzeba więcej czasu by stworzyć dobrą organizację, my mamy go za mało, ale przyspieszamy. Nie wystarczy mieć dobry program, który jest ważny, bo uzasadnia dążenie do władzy, trzeba umieć jeszcze dotrzeć z nim do wyborców.

- Jak pan sądzi, czy rozdział pomiędzy Unią Wolności a Akcją Wyborczą „Solidarność” będzie się powiększał? Wypowiedzi Mariana Krzaklewskiego i pana świadczą o tym, że poro-

zumienie jest niemożliwe... Pan twierdzi, że dla Polski tak samo zła będzie koalicja AWS-ROP-PSL jak dziś jest koalicja SLD-PSL. Jak ma dojść w przyszłym Sejmie do koalicji rządowej, w skład której będzie wchodziła Unia, skoro dziś można mówić o zimnej wojnie „Solidarności” z Unią?

- Czy rozdział się pogłębia czy nie, zależy głównie od AWS. Unia Wolności wykonała w zeszłym roku całą serię ruchów. Tadeusz Mazowiecki i ja proponowaliśmy dialog w celu ustalenia, czy jest szansa pójść dalej. Wszystkie nasze propozycje zostały odrzucone. W miejsce tego pojawiła się tendencja zbliżenia do ROP i do PSL. To świadczy o pewnej orientacji programowej. Odrzucenie możliwości dialogu z nami i opowiedzenie się za dialogiem z PSL i ROP oznacza, że opowiedziano się za odmienną linią programową - moim zdaniem dla Polski o wiele gorszą. Czy tak będzie, zależy teraz od AWS.

- W AWS są między innymi konserwatywni liberałowie, których program gospodarczy prawie nie różni się od programu Unii Wolności. Powinna więc być pewna łączność programowa pomiędzy Akcją i Unią.

- To wszystko zależy od proporcji. Można się posłużyć przykładem spółki akcyjnej, w której, tak jak w AWS, są udziały. Jeśli ktoś ma kilka procent udziałów, a ktoś inny pięćdziesiąt, to posiadający te kilka procent, nie ma żadnego wpływu - czyli jest kwiatkiem do kozucha. Zobaczymy, czy konserwatyści, którzy przystąpili do AWS, będą występowali w roli kwiatka czy nie i czy będą mieć znaczący wpływ na program. W polityce liczy się proporcja siły.

- Co może najbardziej zagrażać polskiej gospodarce ze strony polityków?

- Najbardziej zagraża Polsce malejące tempo wzrostu i rosnące bezrobocie. A na rynek pracy będą w najbliższych latach wstępować wyjątkowo liczne roczniki. Ten, kto zahamuje przemiany gospodarcze w Polsce, będzie sprawcą dramatu młodego pokolenia.

- Nie są to zbyt katastroficzne słowa?

- Z pewnością nie. Myślę, że mamy za małą świadomość tego zagrożenia. Nie zdajemy sobie sprawy, o jak wielką gramy stawkę.

- Co to znaczy zahamować przemiany gospodarcze?

- Na przykład, jeżeli nadal będą topiły bilingi złotych w nie reformujące się górnictwo. Dziś jest to 90 bilionów złotych długów! Co to znaczy? To znaczy po prostu, że inni muszą płacić większe podatki, a pracodawcy nie mogą tworzyć nowych miejsc pracy. To znaczy, że śląskie gminy nie dostają pieniędzy na swoje zadania, że ZUS nie dostaje pieniędzy na emerytury. Górnictwo musi być zreformowane, musi nastąpić demonopolizacja także telekomunikacji czy też energetyki.

- Czym byłby dla Polski wolniejszy rozwój?

- Polska, która będzie się wolniej rozwijać, będzie krajem traconych szans i rosnącego bezrobocia. Obawiam się, że gdyby władzę przejęła koalicja AWS-ROP-PSL, to stanowisko PSL i ROP musiałyby dominować. Nikt nie może w Polsce odpowiedzialnie i uczciwie powiedzieć, że PSL, po pierwsze, nie jest partią postkomunistyczną, po drugie, że dobrze się zapisał w rządzeniu Polską. Najbardziej wstępnym premierem był Waldemar Pawlak - zahamował wszystkie przemiany, które tylko zdołał, po tym jak został obalony rząd Hanny Suchockiej. Zahamował decentralizację i prywat-

zację oraz reformę oświaty. Pytanie, które powinni postawić sobie członkowie „Solidarności”, brzmi: czy chcą iść w kierunku sojuszu z ugrupowaniem nie tylko o takim rodowodzie, ale i o takim wkładzie w najnowsze dzieje Polski.

- Być może ludzie dziś boją się Balcerowicza, który siedem lat temu zmusił wszystkich do zaciśnięcia pasa a wielu dalej go zaciska, gdyż myślą, że powrót jego rządów będzie oznaczał następne ofiary. Może potrzebny jest inny Balcerowicz. Człowiek, który zaczął bardzo trudne reformy, nie przekona już dziś zmęczonych ludzi do dalszych wyrzeczeń.

- Można by o tym dyskutować. Ja mam bardzo dużo kontaktów z ludźmi, dużo jeżdżę po Polsce i wiem, że jest coraz więcej ludzi, którzy rozumieją, że blokowanie przemian w Polsce oznaczałoby, że byłibyśmy dzisiaj w sytuacji Bułgarii albo Białorusi. Ludzie wiedzą już, że nie zawsze odkładanie decyzji dobrze im służy. Tak jak w medycynie.

- Co to znaczy dokończyć prywatyzację i czy w dalszej prywatyzacji byłyby zachowane interesy pracowników?

- Nie ma żadnego powodu, by wyłączać z niej energetykę czy telekomunikację. Wiemy, jak dalszą prywatyzację powiązać z reformą systemu emerytalnego - jest to zresztą zbieżne z pomysłami „Solidarności”.

- Czy w dalszej prywatyzacji byłby zachowany interes pracowników?

- Interesy pracowników muszą być respektowane i jest źle, gdy tak się nie dzieje. Los pracownika w gospodarce jest zrośnięty z losem przedsiębiorstwa. Wiem, że ludzie w „Solidarności” to rozumieją. Pracownicy w przedsiębiorstwach wiedzą, że w firmach, w których nie przeprowadzano przemian własnościowych, najczęściej dochodziło do bankructwa. W tych firmach było widać, jak zły może być los pracownika. Rozumni działacze „Solidarności”, a jest ich wielu, sprzyjają tym przemianom w przedsiębiorstwach. Osobiście uważam, że dobrze jest, gdy jak najwięcej pracowników chce być także udziałowcami własnych firm. Dlatego nie należy im nic narzucać odgórnie z mocy ustawy, ale zachęcać do tego, bo wtedy ludzie skojarzą sobie własność z pracą. Ale to też nie może oznaczać, że wszystko zamieni się w spółdzielnię - to wtedy byłby inny ustrój.

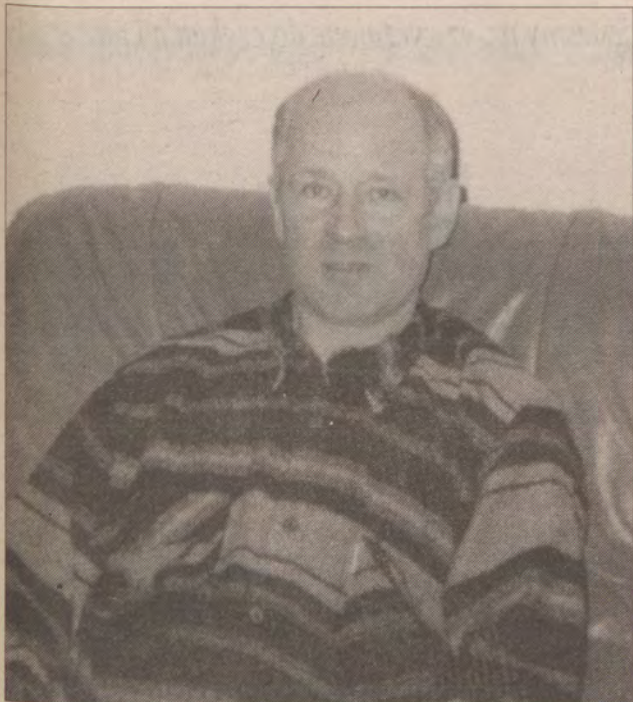
- Kluczowym punktem jest więc dalsze prywatyzacja, a kroki następne?

- Z pewnością reforma systemu emerytalnego. Bez niej Polska będzie się pograżać, a młodzi ludzie pozostaną bez perspektyw na otrzymanie godziwej emerytury. Trzecią kluczową sprawą jest decentralizacja państwa. Na podstawie opinii wielu specjalistów uważamy, że najlepszy jest trójstopniowy układ samorządowy: gmina, samorządowy powiat i duże samorządowe województwo.

Oczekujemy na opinię AWS, która w sprawie decentralizacji ciągle się jeszcze nie określiła. Dalej: bardzo ważna jest reforma oświaty. To na pewno nie są wszystkie potrzebne zmiany, ale one tworzą pewien spójny pakiet. Jeżeli je się przeprowadzi, to będzie można odpowiedzialnie obniżać podatki. Zwłaszcza te, które utrudniają tworzenie nowych miejsc pracy.

- Widzę zakłętą krąg wzajemnej nieufności. Przecież bez przekonania polityków AWS Unia Wolności nie będzie mogła w przyszłym Sejmie przekonać większości posłów do koniecznych reform, a z kolei jeśli takich reform nie przeprowadzi jakiegokolwiek przyszły rząd, to w ciągu kilku lat Polskę może spotkać - o czym sam pan mówił - katastrofa gospodarcza i społeczna.

- My proponowaliśmy dialog i ta oferta jest aktualna. Wszystko zależy od tego, w jakim sojuszu AWS wystąpi i czym się okaże. Akcja może być przecież konglomeratem ugrupowań bez uzgodnionego całłościowego programu. W takim przypadku można przewidzieć najpierw sukces wyborczy, a następnie rozpad po wyborach. Byłby to triumf SLD.



Marian Nowakowski: Ani na chwilę nie straciłem wiary, że przeżyję. Fot. Alina Geniusz

Marian Nowakowski - oficer elektryk, przeżył katastrofę masowca „Erato”, pływającego pod banderą Malty. Statek należał do greckiego armatora Golden Port z siedzibą w Pireusie. Z 25-osobowej załogi zginęło sześć osób, w tym kapitan. Katastrofa wydarzyła się na Morzu Śródziemnym 21 października 1991 roku.

Obudziło mnie coś dziwnego, niepokojącego. Nie pracowały silniki. A silniki statku są jak serce człowieka. Nie pracują - dzieje się coś złego.

Potem usłyszałem przeciągły sygnał alarmu: „Opuszczać statek”. W piżamie wybiegłem na pokład. Statek przechylony był na dziób. Złamany, ale grodzie jeszcze trzymały. Przez pokład, w miejscu złamania przewalały się fale. Ruszyłem do kabiny. Trzeba się ubrać jak najciężiej. Wiem, co to jest hipotermia - szkolenia bardzo się przydały. A więc jedna para spodni i jeszcze jedna. Nieważne, że woda miała 23 stopnie. Falująca woda jest zdradliwa,

marynarze często giną z zimna

Nie mogłem panikować, musiałem przygotować się jak najlepiej. Zabrałem nawet pieniądze i dokumenty. Wróciłem na pokład łodziowy i stwierdziłem, że sytuacja jest w miarę stabilna. Akcją kierowali kapitan i ówczesny pierwszy oficer, a dziś kapitan - Marian Hołod, bardzo mądry człowiek.

„Erato” jeszcze walczyła.

Mam trochę czasu - pomyślałem i wróciłem do kabiny. Nałożyłem kombinezon, ortalionową kurtkę. Dzięki niej być może żyję. Na to przyciasną kamizelkę ratunkową.

Nie chciałem wsiadać do szalupy, to zbyt niebezpieczne, lepsze są tratwy. Dwa statki odebrały nasz sygnał Mayday. Grecki „Bizancjum” i polski „Parandowski”. Do akcji dołączył też „Jastrzębie Zdrój”. Wiedziałem, że mamy szansę.

Jeden z tureckich marynarzy wpadł w panikę, Kurczowo trzymał się relingu, strach go sparaliżował. Puść! - krzykali koledzy - nie słyszał. Gdyby nie udało się go oderwać od relingu,

poszedłby na dno ze statkiem

Na szczęście zdążyli wyrzucić go za burtę. Uratował się.

Schodziłem po sztorotrapie. Kiedy już byłem pięć metrów

nad lustrem wody, statek zламаł się zupełnie i zaczął iść na dno. Błyskawicznie.

Odkoczyłem instynktownie. Wessał mnie wir. Skotłowało mnie, wciągnęło na jakieś dziesięć metrów. Żeby tylko nie otworzyć ust, nie nabrać wody - myślałem wtedy - bo będzie po mnie.

Kamizelka wypchnęła mnie na powierzchnię. Mimo że wpadliśmy do wody w tym samym miejscu, byliśmy porozrzućani. Najbliższy człowiek znajdował się o pięćdziesiąt metrów ode mnie.

Morze wyglądało jak wysypisko śmieci. Pełno desek, beczek, styropianu, butelek, wszystkiego. Nie sposób wypatrzyć ludzi.

Kapitan greckiego statku, który uratował mnie i moich kolegów, powiedział potem, że zauważył nas dzięki temu, że co jakiś czas, machałem piórem wiosła od szalupy, którego się trzymałem.

Widzieli ruszający się pomarańczowy przedmiot.

Ani na chwilę nie straciłem wiary, że przeżyję. Śmierć - to niemożliwe.

Ten chłopak, który był pięćdziesiąt metrów ode mnie zalał się.

Skowyczał jak szkał

Starłem się podpłynąć do niego, podtrzymać go na duchu, ale nie dałem rady. W kamizelce bardzo ciężko się ruszać. Nie uratowano go, nie znaleziono nawet ciała. Pamiętam, że był bardzo lekko ubrany, pewnie się wyziębił. Miał tylko białą koszulkę... Czasem śni mi się po nocach. Słyszę jego przeciągłe wołanie i nie mogę mu pomóc. Młody był, szkoda.

„Parandowski” uratował sześciu naszych kolegów. Rzucili im siatkę, żeby mogli się wspiąć, ale po ponad dwóch godzinach w wodzie człowiek na nic nie ma siły. Więc chłopcy skakali z burt, obwiązywali rozbitków linami i wciągali na statek.

W końcu Grecy z „Bizancjum” podeszli i do naszej grupy. Rzucili nam sztorotrap, ale my też nie mieliśmy siły wchodzić, a oni skakać nie mogli,

burta statku była zbyt wysoko. Podawali nam koła ratunkowe, holowali do sztorotrapu, ale wspinać się trzeba było samemu. Miałem bezwładne nogi.

Come to us! - krzyczeli. Chodź! I have no power - odpowiadałem. Nie mam siły.

Kiedy znalazłem się na pokładzie, dostałem drgawek z zimna. Dlatego nie uwierzę w opowieści, że w ciepłej wodzie można bardzo długo wytrzymać. To nieprawda.

Jeden Turek był w stanie śmierci klinicznej. Zobaczył rzutkę - linę z kulką - i w przeblasku świadomości owinął sobie nią dłoń. Grecy wyciągnęli go i gdy, już przy pokładzie, jeden z nich chwycił go za rękę, lina odwinęła się. Sekunda wcześniej i wpadłby do wody.

Jak w filmie

Grecy szukali naszego kapitana z wielkim poświęceniem, przez kilka godzin. Byli pewni, że go widzieli, a jednak nie udało się go znaleźć. Zaginęło nawet ciało. Potem opowiadano,

że kiedy morze uspokoiło się, nadpływały rekiny.

Żeby tylko moja żona nie dowiedziała się o tym z telewizji - bałem się.

- Co pani wtedy czuła? - pytam żonę pana Mariana, panią Izabelę.

Opowiada na pozór spokojnie, widać jednak, że ciągle przeżywa tamten straszny dzień:

- Powiedział tylko: *Wracam do domu, nasz statek utonął* i odłożył słuchawkę. Inni też chcieli powiedzieć żonom, że żyją...

W domu rozdzwoniły się telefony. Słyszałaś, wiesz już? Jeszcze sporządzają listy, jeszcze szukają. Jezu, nie wiem, czy mąż tej pani, wiesz, nie mówi, przecież jest nadzieja...

Miotają mną różne uczucia. Z jednej strony - przecież to on zadzwonił, to był jego głos. Człowiek w rozpacz ma różne myśli - a może to pomyłka? Może to nie on? Ale to był jego głos! Gdyby było inaczej, chyba bym umarła, nie wytrzymała-

bym tego. A mówiłam, nie jedź na kontrakt...

- Mówiłaś, ale zobacz - uśmiecha się pan Marian - przeszliśmy szkolenie, mieliśmy szczęście. Jestem.

Pan Marian opowiada

o armatorze

który zachował się bardzo przyzwoicie - zakwaterował w hotelu, dał pieniądze na ubrania, wypłacił odszkodowania. A już w ogóle wspaniale zachowała się polska placówka konsularna w Grecji - konsul przesiedział z nimi paręnaście godzin, przyprowadził prawników, udzielił wszelkiej pomocy.

- Człowiek z klasą - podkreśla pan Marian. - Dziś jeszcze raz chciałbym podziękować ludziom, którzy nam wtedy pomogli.

Pan Marian nie podpisał więcej kontraktu z tanią banderą. Pływa na promie „Wilanów” do Kopenhagi. Dwa tygodnie w morzu, dwa tygodnie na lądzie. Pytam, czy się nie boi.

- To mój zawód, mam rodzinę, nie mogę się bać. Poza tym,

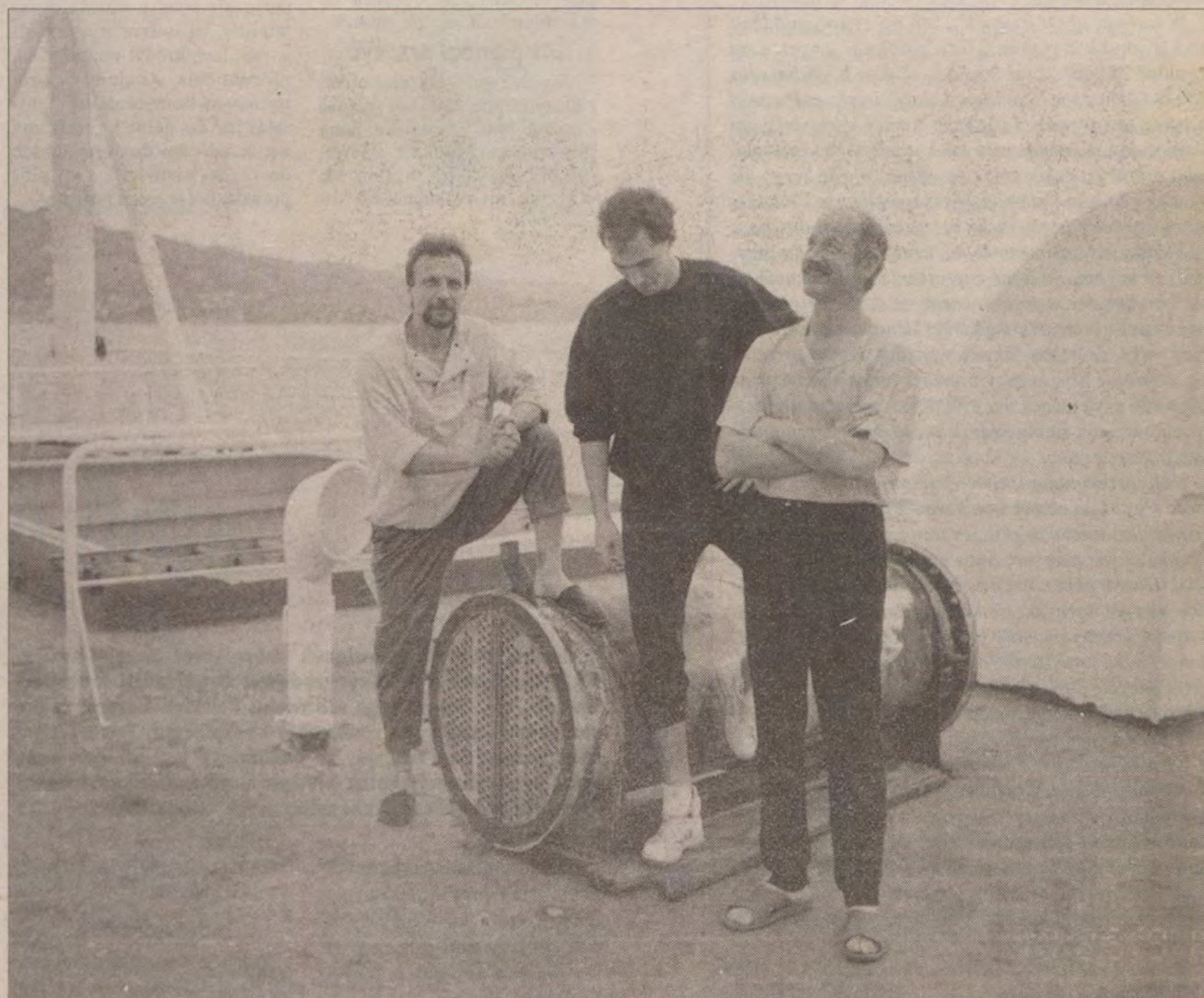
Ten chłopak, który był pięćdziesiąt metrów ode mnie zalał się. Skowyczał jak szkał. Starłem się podpłynąć do niego, ale nie dałem rady. Nie uratowano go, nie znaleziono nawet ciała. Pamiętam, że był bardzo lekko ubrany, pewnie się wyziębił. Miał tylko białą koszulkę...

Czasem śni mi się po nocach. Słyszę jego przeciągłe wołanie i nie mogę mu pomóc.

jedno trzeba powiedzieć - mamy częste szkolenia i alarmy próbne. Mamy przygotowanie. A po katastrofie „Erato” wiem coś jeszcze - w takich sytuacjach potrafie myśleć trzeźwo. I chyba mam szczęście.

Wysłuchała: Alina Geniusz

Kontynuacja: str. 6, 7



25 października 1991. Trzej uratowani przez greckich marynarzy Polacy na pokładzie „Bizancjum”. Szczęściarz - Marian Nowakowski - pierwszy z prawej.

Fot. z archiwum rodzinnego

Przystępując do Unii, staniemy się jej kresami wschodnimi. Przynajmniej na jakiś czas, aż Rosja się ustabilizuje.

Ani przedmurze ani Dzikie Pola

Pomysły humanisty

Wygląda na to, że na przełomie wieków powtórzy się sytuacja sprzed tysiąca lat: Polska wejdzie w struktury zachodnioeuropejskie. Przyjęcie chrześcijaństwa bowiem miało skutki państwowo-prawne podobne do tych, jakie przyniesie członkostwo w Unii Europejskiej. Polska chrześcijańska musiała dostosować swe prawa do „standardów europejskich”, panujący musiał być zatwierdzany w Rzymie, który miał też decydujące zdanie w wielu sprawach, przedtem „czysto wewnętrznych”. Niech nam się też nie wydaje, że kuria rzymska tak bardzo różniła się od „eurokratów z Brukseli”, a jednak per saldo akces do rzymskiego chrześcijaństwa nam się opłacił.

Analogia polega też na tym, że przystępując do Unii, staniemy się jej kresami wschodnimi. Przynajmniej na jakiś czas, aż Rosja się ustabilizuje i zdemokratyzuje. A to może potrwać: na mój gust, termin optymistyczny to 15 lat (pół pokolenia), realistyczny - pół wieku (zejsie pokoleń, które ukształtował ZSRR). Tak czy owak - okres zbyt długi, by go po prostu przeczekać. Trzeba więc wymyślić sobie jakiś „sposób na kresowość”: czy mamy być przedmurzem wobec „Europy nie zreszonej”, czy Dzikimi Polami, rajem dla elementów anarchicznych i źle się czujących z prawem?

W nowym programie TV „Sąd na żywo” poddano pod dyskusję pytanie: „Czy zamknąć granice na wschód?” M.in. zabrał w „Sądzie” głos b. ambasador Polski w Moskwie, Stanisław Ciosek, i zakwestionował w ogóle sens pytania. I słusznie: granicy wschodniej ani nie możemy, ani nie chcemy zamknąć. Byłoby to nieopłacalne moralnie, politycznie i gospodarczo. Ale z tego nie wynika, że nagle i niespodziewana deklaracja Cimoszewicza o wprowadzeniu ruchu bezwizowego jest słuszną.

Kiepski jest argument, że już teraz ze Wschodu przyjeżdża kto chce, bo lipne zaproszenia można kupić na każdym bazarze, z tego bowiem, że na cudze obejście można wejść bramą, furtką i przez dziury w płocie, wcale nie wynika, że trzeba zlikwidować płoty. Raczej przeciwnie: naprawić płoty, a przy bramie i furtce zainstalować dzwonki - czyli jednak wizy. W omawianej dyskusji trafnie zauważono, że obowiązek wizowy to jeszcze długo niezamknięcie granic.

Mało przekonująca, choć efektowna, była też odpowiedź Cioska na obawy wynikające z faktu, że Rosja jest dziś krajem niestabilnym. „Przecież nie przyjeżdża do nas niestabilne państwo, tylko ludzie, sąsiedzi” - powiedział. Dobra, dobra, tylko że ludzie w niestabilnym państwie na ogół wyznają zasadę „ratuj się, kto może” i mają w nosie prawa i przepisy swoje, a tym bardziej cudze. Gangi i męty są wszędzie, ale w Rosji namnożyło się ich niebezpiecznie dużo. Polska nie może być kanałem przepływowym dla mętów, i to w tę i we wte. Chce wejść do Unii, to musi pilnować służ, taki los państwa kresowego.

Co mnie osobiście zaś najbardziej zirytowało w zdumiewającej obietnicy premiera, to to, że zadeklarował ruch bezwizowy literalnie za nic. Przejścia graniczne są nie dostosowane do ruchu już teraz, a co będzie, jeśli ruch się wzmoże? Niech by Rosjanie chociaż wzięli na siebie część kosztów budowy nowych przejść i modernizacji starych, część proporcjonalną do liczby obywateli WNP przekraczających granice.

Nie mamy ochoty być przedmurzem, ale rola Dzikich Pól to też żadna perspektywa dla państwa o jakichś takich ambicjach niepodległościowych i cywilizacyjnych.

Janina Wiczerska

- Po powrocie męża z morza mieliśmy obchodzić srebrne wesele - opowiada pani Irena Brudnicka. - Przed ostatnim rejsem dużo rozmawialiśmy, analizowaliśmy nasze życie. Młodszy syn był już przed maturą. Mogliśmy już więc planować czas tylko dla siebie; wspólne wyjazdy, odwiedzanie wymarzonych miejsc. Mąż miał mi wynagrodzić lata samotności, wyrzeczeń, czekania. Niestety przyszedł czarny dzień, który zniweczył wszystko. Połowa mojej osoby przestała istnieć.

Niewiele kobiet chce rozmawiać o tragedii na morzu sprzed pięciu, a nawet dziesięciu lat. Twierdzą, że to jeszcze zbyt wcześnie, że rana się nie zabiłiła. Nawet te, które po raz drugi założyły rodziny i są w nich szczęśliwe, uważają, że taka rozmowa nadal boli.

Pani Jolanta Ułasiewicz, żona kapitana z promu „Heweliusz”, była całkowicie świadoma niebezpieczeństw, z jakimi spotykał się jej mąż na morzu, jednak akceptowała jego wybór. Szanowała wszystkie jego decyzje. Wiedziała, że jeśli statek zacznie tonąć, to jej mąż będzie na posterunku do końca, będzie walczył o ludzi, o statek. Mimo wszystko, pustki i samotności jaka pozostała, nie potrafi opisać. Udało się jej przetrwać najtrudniejsze chwile tylko dzięki pracy, którą podjęła za namową przyjaciół.

- Praca stała się dla mnie wybawieniem - mówi Jolanta Ułasiewicz. - Nie siedzę w domu, nie oglądam zdjęć, których do dzisiaj nie mogę uporządkować. Wiem, że muszę myśleć o przyszłości. Jednak śmierć męża pozostawiła głęboki ślad również w psychice mojej 18-letniej córki. Z natury jest to dziewczyna pogodna, ale w jej wierszach, a pisze ich dużo, pojawia się w nich otchłań, morze, smutek.

Los pomógł przeżyć

dokładając wielu kłopotów, z którymi musiałam się szarpać - dodaje pani Brudnicka, żona starszego mechanika z „Heweliusza”. - Nie zwinęłam się w kąciku, nie płakałam, bo Mi-

chał, młodszy syn pod wpływem przeżyć zaczął źle postępować. Zabrakło mi czasu na rozpamiętywanie nieszczęścia. I to tak trwało, pojawiały się nowe wyzwania, ktoś oczekiwał mojej pomocy, zaangażowałam się w nowe życie, wróciłam do pracy w szkole. Uczenie dzieci daje dużą satysfakcję, odciąga od przeżyć. Marcin, starszy syn ożenił się, patrzę na jego szczęście i czekam na wnuczkę, bo sądzę, że ona nie ucieknie na morze.

Pomimo tragedii rodzinnej, synowie pani Ireny poszli śladami ojca. Starszy jest żołnierzem w Marynarce Wojennej, młodszy studentem Wydziału Mechanicznego Wyższej Szkoły Morskiej. Młodość i beztroskie życie skończyło się dla nich wraz ze śmiercią ojca. Nagle musieli stać się dorośli. Marcin zaczął pracować. Michał pogodził się z losem. - Musiałem to zrobić - wyznaje. - Mam całe życie przed sobą.

Niewielu wdowom, zwłaszcza starszym, udaje się życie rozpocząć od nowa. Twierdzą, że nie jest łatwo żyć się, zaprzyjaźnić z innym człowiekiem. Silniejsze psychicznie stwarzają pozory wesołości, bo wiedzą, że ludzie wyczerpali wobec nich kredyt współczucia, zrozumienia. Znajomi prawią im nawet komplementy: „doszłaś już do siebie”, „cieszymy się, że wróciłaś do normalności, do rzeczywistości”, a to nieprawda, ból w sercu pozostaje.

My umiemy czekać, jesteśmy przyzwyczajone do czekania i nawet gdy

Syndrom

- Dawniej miałam siłę na pracę charytatywną, dzieliłam się z innymi, teraz nie potrafię kogoś pocieszać, nie mam już tej siły, to ja potrzebuję wsparcia duchowego - wyznaje pani Irena.

Po śmierci mężów ich żony znalazły się

na marginesie życia.

Tak to się dzieje. Jeśli jest się wdową, to w niektórych formach życia towarzyskiego nie można uczestniczyć. Dla samotnych nie ma miejsca. Brakuje wsparcia, przyjaznego ramienia. Osoby zapraszające je odczuwałyby obowiązek ciągłej opieki.

- Jeśli wdową zostaje się zbyt wcześnie, boleśniej znosi się cierpienie - twierdzi pani Irena. - Do wdowieństwa trzeba dorastać. Mnie na przykład denerwują ludzie starsi. Idą razem, podtrzymują się, wspólnie drepczą, to piękny obraz. Ale oni mnie denerwują. Robię sobie wyrzuty: dlaczego mnie to spotkało? Dlaczego ja nie mogę w przyszłości kogoś wspierać? Dlaczego młodzi, pełni życia ludzie kończą tak okrutnie? Na takie pytania nie potrafię znaleźć odpowiedzi. Nie potrafię też już niczego planować na przyszłość. Mimo że należę do osób aktywnych, włączyłam się w życie, nadal jestem rozbita. Odżywają stare rany. Nie potrafię o tym ze spokojem mówić. Chociaż synowie mnie wspierają, z cierpieniem pozostałam sama. Nikt, przy najlepszych chęciach, nie jest w stanie

mi pomóc. I jeśli ja nie wyjdę do ludzi, to do mnie nikt nie przyjdzie. Dźwigam ten krzyż, chociaż buntuję się, nie widzę w tym sensu. Podnoszę głowę, stawiam czoło życiu, które już nie cieszy.

Pani Irena nigdy nie lubiła czerni. Żle się w niej czuła, źle w niej wyglądała. I nagle przywdziała czarne szaty. Przez pewien czas znajomi i przyjaciele tolerowali ten kolor. Wreszcie zaczęli namawiać, aby powróciła do starych ubrań. A jednak czern była jej potrzebna. Czuła się w niej bezpieczna. Dopiero od niedawna, gdy oswoiła się z myślą utraty najukochańszej osoby, zaczęła się inaczej ubierać. Jej mąż pozostanie jednak na zawsze w myślach, nigdy się nie zestarzeje, nie zniedołężnieje, będzie takim, jakim go widziała po raz ostatni.

- Nie dziwię się tym kobietom, że

nie chcą rozmawiać

o tym, co najbardziej boli - mówi ojciec Edward Prac z kościoła Stella Maris w Gdyni. - Dotyka się bowiem najgłębszego, najbardziej intymnego problemu - śmierci człowieka. Ludzie morza bardzo dobrze to rozumieją. Wobec żywiołu tej głębi są pokorni. Wiedzą, że w każdej chwili mogą znaleźć się na drugim brzegu. Gorzej jest z ich rodzinami. Przerwane życie, przerwane rozmowy, osierocone dzieci. Staramy się im nieść pomoc społeczną i duchową, ale to nie zawsze pomaga.

Kogo stać na

Armatorzy mają obowiązek ubezpieczać marynarzy według standardów Międzynarodowej Organizacji Transportowców, ale często tego nie robią. Polskich marynarzy nie stać indywidualnie na zawieranie ubezpieczeń. Towarzystwa ubezpieczeniowe szacują, że dodatkowo jest ubezpieczony tylko co dwudziesty Polak pływający na zagranicznych statkach. Ilu w ogóle jest ubezpieczonych - tego nikt w Polsce nie wie.

Zgodnie ze standardami ITF armatorzy powinni zawrzeć umowę, która pozwoli na wypadek śmierci albo całkowitego inwalidztwa na wypłatę 60 tys. USD. Poza tym, na każde dziecko w wieku do 21 lat w rodzinie powinno przypadać 15

tys. USD, ale nie więcej niż 60 tys. USD łącznie.

Indywidualnie

Agencje mustrujące marynarzy na statki zwykle nie sprawdzają, czy armator zawarł jakieś ubezpieczenie. Niektórzy - „Dziennik” dysponuje ich

listą - zwracały się ostatnio do wybrzeżowych towarzystw ubezpieczeniowych z prośbą o przedstawienie oferty ubezpieczeniowej; przy założeniu, że za ubezpieczenie zapłacą marynarze. Tych nie stać jednak na samodzielne opłacanie składek. Ich zawód jest traktowany w firmach „ubezpieczeniowych” jak jeden z najbardziej niebezpiecznych (np. w „Warcie” za bardziej niebezpieczny uznaje się tylko zawód górnik), płacą więc relatywnie wysokie składki. Gdyby chcieli spełniać międzynarodowe regulacje i zgodnie z nimi zabezpieczyć

finansowo swoje rodziny, musieliby zapłacić - przed rozpoczęciem rejsu - za ubezpieczenie półrocznego kontraktu ok. 2 tys. zł. Decydują się na to nieliczni.

Armatorsko

Stawki mogłyby być niższe, gdyby armatorzy ubezpieczali jednocześnie załogę i statki. Tak czyni większość „przywzwoitych armatorów”, także pływających w tzw. II rejestrach tworzonych dla celów podatkowych przez bogate kraje Zachodu. Ale ponad 20 tys. polskich marynarzy - na

dowiadujemy się o tragedii, czekamy nadal, mając nadzieję, że mąż powróci z rejsu

wdów

Pani Irena otrzymała rentę rodzinną. Jej młodsze koleżanki - wdowy z małymi dziećmi - znalazły się w gorszej sytuacji. Kiedyś zapewniano je, że są pod opieką instytucji morskich. Tymczasem nowe relacje ceno-

we i zmiany w gospodarce morskiej sprawiły, że obietnice pozostały tylko obietnicami.

Niektóre z nich załamały się, popadły w alkoholizm, prowadzą niezbyt uczciwe życie. Inne ciągle czekają. Brak odpowie-

dzi na pytanie: dlaczego doszło do tragedii, brak ciała zmarłego, powoduje, że żyją nieomal w obłędzie. Wśród przechodniów na ulicy rozpoznają męża, nie rozumieją dlaczego się ukrywa, czyżby stracił pamięć?

Jeszcze inne doszukują się jakiejś nie wyjaśnionej tajemnicy. Od tych, którzy przeżyli chciałoby usłyszeć, co stało się naprawdę. Jakie były ostatnie słowa ich mężów.

Maria Giedz



Irena Brudnicka: Jeśli wdową zostaje się zbyt wcześnie, boleśniej znosi się cierpienie. Do wdowieństwa trzeba dorastać.

Fot. Maria Giedz

bezpieczne pływanie

tylę szacuje marynarski polski zaciąg „Warta” - pływa też na statkach armatorów tzw. taniach bander. Monrovia, Panama, Limassol, to od lat najpopularniejsze porty macierzyste na świecie. Pod takimi banderami pływa poważna część floty PZM, najnowocześniejszy polski prom - „Polonia” i, od niedawna, cała flota gdyńskiego Pol - Levantu (przeflagowane polskie statki są objęte ubezpieczeniem na warunkach ITF). Podnosi je, głównie ze względów podatkowych, cały morski świat; bardzo szacowne firmy armatorskie, także tysią-

ce drobnych armatorów o podejranej reputacji, za to bardzo sprawnych w wyciskaniu ostatniego centa. Polscy armatorzy tłumaczą, że podniosą polską banderę, gdy rząd doprowadzi wreszcie do powołania II rejestru w naszym kraju. Temu jednak przeciwnie są związki zawodowe; niektóre z nich nie widzą różnicy pomiędzy tanią banderą i II rejestrem. I koło się zamyka.

Właściciele

Ustalenie właścicieli firm armatorskich jest we współczesnym shippingu bardzo trudne,

czasem niemożliwe. Tak właśnie jest z właścicielem „Leros Strength”. Jak pisaliśmy już w „Dzienniku”, właścicielem statku był Leros Management, a na Cyprze statek był jedynie zarejestrowany. Podobnie jest i z dużymi kompaniami żeglownymi, i firmami zakładanymi na jeden rejs. W przypadku „Leros” najlepszą gwarancją, że wszelkie sprawy o odszkodowania dla rodzin marynarzy potoczą się zgodnie z prawem są pozostałe statki armatora i jego dobra dotychczasowa

współpraca z Morską Agencją Gdynia.

Agencje

Inna kwestia, to same agencje. Działa ich w Polsce 50-60, z tego tylko 16 z licencją. Rzecz w tym, że brak licencji nie oznacza, że agencja mustruje tylko na zdezelowane jednostki; bywa, że agencje z tradycjami nie sprawdzają stanu statku, na jaki mustrują marynarzy. Reguły nie ma, a sankcje za prowadzenie agencji bez licencji są bardzo niskie.

(J.K.)

Analizując bieg wydarzeń i nastroje społeczne, Chrzan kreśli ponurą perspektywę zaostrzania pracowniczych protestów...

Apokalipsa według Jana Chrzana

Chwyty dozwolone

Piszę tekst, gdy wciąż burzy się Belgrad, nadal gotuje się w bułgarskim kotle, a w Albanii są zabici i ranni. W nas Bogu dzięki płynie chłodniejsza krew, niż u ludów Bałkanu, więc słysząc na razie jeno o zaostrzaniu protestów.

Lekarze, słusznie acz bezskutecznie żądający potrojenia zarobków oficjalnych, grożą zaprzestaniem wypisywania aktów zgonu, a sądzę, że i oglądania zwłok. To uniemożliwi pochówki w majestacie prawa, więc po zatkanie się na amen wszelkich prosektoriów, kostnic, kaplic cmentarnych i chłodni w zakładach pogrzebowych, powstaną zwałowiska martwych ciał i przypominać będzie to średniowieczne epidemie dżumy, czy cholery. Brr! Alternatywą byłoby wysłanie kostuchy na urlop - a kiedyś pacholeciem będąc oglądałem taki film - ale tu wkraczam w sferę fantazji.

Od przygnębiającej przygrywki na trupolę i grobofon przejdźmy do innych protestów. Oflagowali się już strażacy zawodowi, chcący zrównania praw i płac z wojskową kadrą. Akcję rycerzy św. Floriana ukoronują zapewne odmowy wyjazdów do ognia. - Pali się? - usłyszemy któregoś dnia w słuchawce. - I co z tego? Gaś pan sam, posikując równo, albo dzwoń do ministra Milera! Wyjście cegiełki z gmachu establishmentu zachwieje całą strukturą państwa, więc może wojskowi, sfrustrowani zrównaniem ze strażą, zagrozą iż w przypadku wrażeń napaści na kraj po komendzie „W tył zwrot!” zwyczajnie rozejdą się do domów. Policja zaś, wciąż niedopieczona płacowo, sprzętowo i mundurowo, zapowie zaniechanie ścigania przestępstw, poprzestając na karach za nadmierną szybkość, ale bez wypisania kwitu. Straż Graniczna ogłosi, że ściąga posterunki do przytulnych strażnic, ustawiając na nie strzeżonej granicy tablice PRIGŁASZAJEM SIERDIECZNO W JEWROPU! Celnicy oczko przymkną na hasz, amfę, trawkę i grzybki, postulując podział dochodów z cel „fifty - fifty” ze Skarbem Państwa, a Straż Więzienna - jeśli jej nie podwoją płac - przekaże klucze więźniom.

Protestujący nauczyciele nie będą sprawdzać obecności, zadawać i odpytywać oraz nauczać i tak zbędnych w życiu mądrości. Uczniowie po prostu nie zjawiają się w szkole - bo po co? Piekarze zagrozą wygaszeniem pieców, a rzeźnicy, solidaryzując się, doradzać będą samostługowe szlachetowanie wołów i świń, dzielenie tusz, ćwiartowanie itp. okropności. Również obsłużenie się samemu zaproponują klientom panienki z agencji towarzyskich. W końcu Polak potrafi... Felietoniści obwieszczą, że za nędzne grosze przestaną się wysilać i zaczną pisać wstępniaki nudne jak flaki, a Mistrz Jujka nastraszy naród odejściem od swych najatrakcyjniejszych tematów: kaszanki de luxe, żebraka z dyplomem i ministra w telewizorze. Powiezie grozą... Gdy życie społeczne ustanie - pracownicy mennicy spełnią groźbę, wstrzymując tłoczenie bilonu i druk banknotów. Albo się wtedy cofniemy do handlu wymiennego (para skarpetek za relację z rozgrywek ping ponga w Sobowidzu) - albo automatycznie wszystko wróci do normy, czyli status quo ante. A wtedy znów zakwitną flagi na bramach i nalożymy strajkowe opaski...

Jan Chrzan

Okazało się, że piłkarz Marek Citko stanowi niematerialną wartość trwałą majątku klubu Widzew Łódź. Pewnie słusznie. Natomiast wybitny naukowiec stanowi dla kwestora uniwersytetu koszt. I nic więcej.

Kto jest majątkiem

Rejsy po gospodarce

Każdy kiep wie, że majątek może być trwały albo obrotowy. Ale w skład żadnego jego elementu nie wchodzi człowiek. Wyjąwszy ciemny okres niewolnictwa, kiedy to buchalterzy zapisywali zapewne wartość niewolników, grabi i łopat i taczek. Ta część majątku podlegała raczej amortyzacji. Odtwarzała się bowiem sama w wyniku przyrostu naturalnego. Wszystko to opiera się jednak na domysłach, historia rachunkowości przemilcza bowiem dyskretnie ten ponury czas.

I otóż całkiem niespodziewanie przed księgowymi staje ponownie problem zapisania człowieka jako części składowej majątku przedsiębiorstwa. Niby wszystko w porządku. Człowiek wszak staje się coraz ważniejszy. Ale dla księgowego człowiek istnieje nadal jedynie jako czynnik pobierający wynagrodzenie za pracę, dywidendę itp.

W ostatnich dniach sprawę tę podniosła jedna z gazet przy okazji (niedoszłego) transferu piłkarza Marka Citki z Widzewa Łódź do Blackburn Rovers. Anglicy mieli zapłacić za Citkę kupę szmalu, coś ponad dwa miliony dolarów i dziennikarze zainteresowali się jak i gdzie taką pozycję księgowy Widzewa powinien zapisać. Pytani eksperci rachunkowości dawali wymijające odpowiedzi. Przeważała opinia, że piłkarz stanowi chyba tzw. niematerialną wartość trwałą. No cóż, księgowi zawsze mieli tendencję do gmatwania rzeczy. Bo jeśli nawet wyjście takie jest zgodne z ustawą o rachunkowości i wytycznymi Stowarzyszenia Księgowych, to wszakże kłóci się ze zdrowym rozsądkiem. Bo niewątpliwie piłkarz Citko (i jemu podobni) jest jak najbardziej materialny, ale trwały to raczej nie.

Znajomy działacz sportowy rozstrzygnął moje wątpliwości w tej sprawie stukając się wymownie w czoło. Człowieku, powiedział, dobry księgowy nie ma prawa w ogóle zaksięgować takiej kwoty! Musiałby być idiotą, kluby wszakże muszą z czegoś żyć!

Pomysł, aby wprowadzić u nas zawodowe ligi, oznacza m.in. konieczność przekształcenia klubów w spółki akcyjne. To z kolei będzie wymagało podporządkowania ich działalności rygorom przepisów gospodarczych, prowadzenia pełnej księgowości, rejestracji wszystkich dochodów i wydatków. Koniec z lewą kasą, kupowaniem meczów, sędziów. Horror!

A wracając do sedna. Czyż to nie paradoks, iż to właśnie w sporcie o wartości przedsiębiorstwa-klubu decydować będzie wartość zatrudnionych tam ludzi (zawodników)? Czyż lekarz w klinice, aktor w teatrze, profesor w szkole wyższej nie decydują o rzeczywistej wartości tych instytucji? Ale kiedy wybitny lekarz odchodzi do innego szpitala, księgowy oddycha z ulgą. Mniej wykwalifikowanemu następcy będzie można mniej płacić. Spadną koszty, a nie wartość majątku.

A gdyby tak sportowe wzorce dotarły na uczelnie? Na ile też oszacowano by moją wartość w bilansie politechniki? Mogłoby się okazać, że jestem całkiem zamortyzowany, czyli netto warty - zero. Jak zardzewiały młotek. A wedle wartości rynkowej? Musiałby mnie ktoś kupić. Heidelberg, taki akademicki Bayern Monachium? A może tylko Biznes Koledż w Pcimiu?

No, na szczęście uczelnie nie mają zamiaru stać się spółkami akcyjnymi. I w ogóle brzydzą się handlem i pieniędzmi. Mogę spać spokojnie.

Piotr Dominiak



Irena Kwiatkowska urodziła się 17 września 1912 roku w Warszawie. W 1935 r. ukończyła warszawski PIST pod kierunkiem Aleksandra Zelwerowicza i w tymże roku rozpoczęła pracę w Teatrze Powszechnym. Przed wojną brała udział w filmie „Moja mama to ja” z 1939 r. Po wyzwoleniu zadebiutowała w 1946 r.

Aktorka, oprócz licznych ról teatralnych i kinowych, jest znana także z występów w kabaretach: „Dudek” i „Kabaret Starszych Panów”. Od wielu lat związana z teatrem „Syrena” w Warszawie. W zeszłym roku obchodziła sześćdziesiąte lata pracy aktorskiej.

Jej role są przede wszystkim komentarzem na temat postaci, rodzajem zabawy, przy równoczesnym zachowaniu własnej osobowości.

Zbliżenia

Irena

Aleksander Zelwerowicz, dyrektor Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej w Warszawie, powiedział młodzieńczej Irenie Kwiatkowskiej, że nie spodziewa się, aby ta zrobiła karierę w teatrze, gdyż nie ma ku temu potrzebnych warunków zewnętrznych.

Nieco później recenzenci pisali, że mogłaby czytać książkę telefoniczną, a publiczność i tak szalałaby z zachwyty. Podobnie mówiono tylko o Helenie Modrzejewskiej.

Swoje początki na scenie Irena Kwiatkowska ocenia jako trudne. Kiedy była kilkuletnią dziewczynką, brała udział w jasełkach i odtwarzała wyłącznie role diabłów. Przyprowadziła ją to wówczas o duże zmartwienie, bo marzyła o roli aniołka. Potem w VI klasie gimnazjum, kiedy na lekcji języka polskiego czytali książki na głos, zawsze przypadała jej rola męska. Odtwarzała postać Zagłoby w „Panu Włodyjowskim”, Chochlika w „Balladynie” i Papkina w „Zemście”.

Po wojnie Marian Eile zaangażował ją do kabaretu „Siedem Kotów” w Krakowie.

Przygoda trwała jednak krótko, gdyż straż pożarna miała zastrzeżenia do zabezpieczenia sali i po niespełna jednym sezonie kabaret przeniósł się do Warszawy.

— Zaczęłam na estradzie. Skończyłam jednak Państwowy Instytut Sztuki Teatralnej, więc kształciłam się i szykowałam na aktorkę dramatyczną - opowiada Irena Kwiatkowska. - Teraz, kiedy gram wyłącznie na scenie, jestem szczęśliwa, bo estrady nigdy nie lubiłam. Robiłam to wyłącznie „dla chleba, panie, dla chleba”. Traf chciał, że tym właśnie zdobyłam uznanie, w pewnym sensie wbrew sobie.

Hermenegilda i żona Wacia

W czasie studiów brała udział w dwóch konkursach recytatorskich. Na pierwszym

z nich za bajkę o koguciku i kurce zdobyła drugie miejsce i otrzymała wówczas 30 zł.

— Kiedy przyszedłam do domu i wręczyłam mamie pieniądze, powiedziała, żeby w przyszłym roku startowała powtórnie i znowu przyniosła forszę - wspomina pani Irena. - Faktycznie, wystartowałam za rok, lecz już z dużo ambitniejszym repertuarem, bo recytowałam wiersz „Inge Bartsch” K. I. Gałczyńskiego. Zdobyłam pierwsze miejsce. Wówczas Gałczyński był poetą trudnym, oryginalnym i rewolucyjnym. Nie to co teraz, kluska z makiem dla młodych. W tamtych latach Gałczyński szokował widzów.

Jak twierdzą krytycy, poezja Gałczyńskiego uformowała Kwiatkowską. Poeta, pisał do kabaretu „Siedem Kotów” tek-



Kwiatkowska



W poniedziałek Irena Kwiatkowska nagrywała kolejną edycję programu telewizyjnego „Od przedszkola do Opola” w Teatrze Muzycznym w Gdyni.

sty specjalnie dla niej. Tak powstała „Zona Wacia”, „Hermenegilda Kociubińska”, czy „Sierotka”. Recenzenci oceniali styl gry Kwiatkowskiej jako „mieszanie poezji i zjadliwej drwiny”. Podkreślano, że jej aktorstwo nie wciela się w rolę, lecz uwypukla postać.

Krzysztof Teodor Toeplitz napisał, że „jej role są przede wszystkim komentarzem na temat postaci, rodzajem zabawy, przy równoczesnym zachowaniu własnej osobowości”.

Drzwi do nierealności

Rozwojowi talentu Ireny Kwiatkowskiej pomogli Jeremi Przybora i Jerzy Wasowski w „Kabarecie Starszych Panów”. Jak podkreśla ona sama, był to genialny tandem, zarówno pod względem muzycznym, jak i tekstowym.

— Początkowe występy i realizacja „Kabaretu Starszych Panów” spotkały się z niechęcią ze strony telewizji. Było to zbyt nowatorskie, zbyt śmiałe, jak na tamte czasy. Facet, który mówił, że wchodzi przez drzwi, których nie było, nie wzbudzał zaufania. Telewizja pytała, czemu ma to służyć i co to jest. Mieliśmy ogromne trudności z próbami. Nie chciano np. przydzielić nam pokoju z instrumentem. Nie było lekko.

Wasowski musiał się nieźle nabiedzić, żeby wszystko pozałatwiać.

Piosenki z kabaretku, które wykonywała Kwiatkowska, nuciła cała Polska. Jak wspomina artystka, jej mama, która była osobą bardzo muzykalną, nigdy nie przekonała się do śpiewania córki.

Po co mi ciastko?

Mówi się o niej, że jest aktorką wymagającą i pracowitą, która z ogromną uwagą odnosi się do każdego wypowiedzianego zdania. Pracuje nad każdą rolą bardzo dokładnie.

— Przyzwyczajam się do roli, bo przecież z taką postacią człowiek się żyje, myśli o niej nieustannie - twierdzi Irena Kwiatkowska. - Zazwyczaj rozmyslałam o przygotowywanej postaci w nocy, kosztem snu. Bardzo trudno jednak jest zrealizować swoją nocną wizję.

Pani Irena już jako dziecko wykazywała upór i stanowczość. Na jednym z przyjęć dzieci recytowały wierszyki i otrzymywały w zamian ciastko. Kiedy nadeszła kolej małej Irenki, ta stanowczo odmówiła. Wszyscy, próbując ją przekonać, przypominali, że jeśli nie powie wiersza nie dostanie ciastka, na co uparta artystka rzuciła: - To i lepiej!

Życie bez telewizji

Irena Kwiatkowska nie ogląda swoich starych filmów. Nigdy nie lubiła patrzeć na siebie, gdyż jak twierdzi, człowiek ma pewną wizję swojej osoby, która w konfrontacji z obrazem na ekranie może szokować. Kiedyś pewna pani, spotykając ją na ulicy, powiedziała: - Widziałam panią w telewizji. Na co pani Irena rzuciła przez zęby: - Ja też!

Obecnie aktorka bardzo dużo gra. Występuje w teatrach: „Syrena”, „Kwadrat”, „Komedia”. Nie zostaje jej zbyt dużo czasu dla siebie. Nie ogląda telewizji. Nie pamięta, kiedy ostatnio była w kinie, chociaż woli kino od teatru. Według Kwiatkowskiej, scena jest o wiele trudniejsza dla artysty, gdyż tam aktor jest sam na sam z tekstem i ze swoimi nerwami. Kino natomiast daje spokój. Aktorka twierdzi, że przed

ekranem kinowym może poświęcić się tylko oglądaniu filmu, nie martwiąc się o artystę. Kiedy natomiast widzi żywego aktora w teatrze, zastanawia się, jak on w tym momencie się czuje, czy nie paraliżuje go strach.

Po krótkim zastanowieniu, pani Irena stwierdziła, że właściwie nie przywiązuje się do miejsc i przedmiotów. Była jednak kiedyś w Paryżu i pewnej nocy przyśniło jej się, że nie może wrócić do kraju. Obudziła się z przerażeniem, bo chociaż Paryż jest pięknym miastem, to coś ciągnie ją w rodzinne rejony.

— To chyba jest patriotyzm - mówi z nostalgią.

Renata Twarduś

Zdjęcia: Robert Kwiatek

Wystarczyło kilka wibrujących dźwięków zza obcej ściany, by otworzył się we mnie świat już zdawałoby się nierealny, by zabłyśło w oczach światło o nie widzianych nigdy kolorach, by w pamięci odezwała się rozmowa. Kiedyś...

Każdy ma swoją samotność

Życie i liryka

W sąsiednim pokoju hotelowym zadzwonił telefon i długo nikt nie podnosił słuchawki. Wreszcie umilkł po jakimś czasie i nie wiem, czy dlatego, że nikogo tam nie było albo ktoś wreszcie podszedł do aparatu, choć żadnego głosu nie słyszałem. Nie wiedziałem kto mieszka za ścianą i z kim przyjdzie mi spędzić kilka przypadkowych godzin lub dni.

Ale dopiero niespodziewany sygnał telefonu uświadomił mi, że ktoś może być obok - za którąś z dwóch ścian, pode mną, nade mną. Wydało mi się przez mgnienie, że słyszę kobiecy głos i może to była osoba, do której ktoś telefonował, choć mógł to być ten głos, który ja nagle postyszałem w sobie, a raczej we mnie raptownie odezwało się pragnienie usłyszenia raz jeszcze tamtego lekko zachrypniętego głosu, którego prawdopodobnie miałem już nigdy nie usłyszeć. Spojrzałem bezzadnie na czerwony telefon stojący na komódce, nad którą krzywo wisiała martwa natura nieznanego malarza.

Popatrzyłem na ten niewielki przedmiot i zdałem sobie sprawę, że przecież wszystko mogło być inaczej. Inaczej niż miesiąc temu, niż dwa tygodnie, niż w tej chwili. Wystarczyło kilka wibrujących dźwięków zza obcej ściany, by otworzył się we mnie świat już zdawałoby się nierealny, czas kogoś innego, by zabłyśło w oczach światło o nie widzianych nigdy kolorach, by w pamięci odezwała się rozmowa, której już dokładnie powtórzyć nie umiałem.

Lecz skąd mogłem mieć pewność, że ten ktoś za ścianą nie był w podobnej sytuacji, lub że dzwoniący telefon czyjeś życie nie przeciął na pół i to życie nigdy już nie będzie symetryczne, już na zawsze będzie zwężone, sklejone, skrzywione. To nie było szukanie pocieszenia w podobieństwie czyjegoś losu...

Za oknem był mglisty zimny poranek i nieznanie miasto, od pierwszego spojrzenia na nie z wysokości jedenastego piętra, wydawało się najgorszym miejscem w życiu, do którego mogłem trafić. Ale tak już jest, że hotelowe pokoje, terminale lotnisk, poczekalnie dworcowe, w których czujemy się najbardziej anonimowi i gdzie zdaje się, że tylko tutaj, nigdzie indziej, uda nam się ukryć ze swoją samotnością, nie są dobrymi miejscami. Każdy ma swoją samotność i niekoniecznie musi mieć ją wypisaną na twarzy czy ostemplowaną w paszporcie. Nie ma większej różnicy między samotnością pokojówki hotelowej a samotnością przypadkowego mieszkańca pokoju hotelowego, którym już nic nie pozostaje oprócz współczucia niemych gwiazd na niebie. Chociaż nie o żadne współczucie przecież chodzi. Jesteśmy samotnymi atomami blakającymi się we wszechświecie, ocierający się o siebie aż do krwi, przechodzący obok siebie milczący i obcy. Staramy się w różny sposób zagłuszyć naszą samotność, ale ona i tak budzi się obok o każdym wschodzie słońca, głaszcząc ciele na przebudzenie po policzku. Jest wszędzie i zawsze. Jest naszym cieniem i naszym odbiciem w lustrze. Nasza samotność to po prostu my sami.

Aleksander Jurewicz

W Osieku lekki szum

Czarna lista księdza proboszcza

W Osieku proboszcz opublikował na łamach lokalnego „Tygodnika Parafialnego” listę 30 rodzin, które nie przyjęły go po kołędzie. - Takiego zdarzenia nie pamiętają najstarsi mieszkańcy wsi - mówi część parafian, oburzonych publikacją. - To dobry ksiądz, ale po co bawi się w taką „czarną listę”?

Niewielka wieś Osiek, niedaleko Skórcza na Kociewiu, zasłynęła w ubiegłym roku jako miejsce zorganizowanego przez Wojciecha Cejrowskiego zlotu „Ciemnogród '96”. Spokojna dotychczas wioska, którą wyróżnia jedynie atrakcyjne położenie nad największym kociewskim jeziorem - Kałębą, gdzie od lat przyjeżdżają na wypoczynek wczasowicze z całej Polski, stała się miejscem manifestacji 10 tysięcy „ciemnogradzian”, sympatyków Cejrowskiego. To właśnie dla niego ściągnęły do Osieka tłumy z całej Polski.

Gdy po raz pierwszy usłyszałem słowo ciemnogród, wydało mi się ono fantastycznym pomysłem propagandowym - tłumaczył Wojciech Cejrowski. - Kiedy zacząłem analizować, co autor tego terminu miał na myśli, okazało się, że chciał mnie tym zwrotem obrazić. To, że całuję kobietę w rękę, szanuję ojca i matkę swoją, a także choinkę, opłatek i św. Mikołaja - wszystko co wyniosłem z rodzinnego domu, nazwane zostało ciemnogradem. Natychmiast więc wzięłem to

hasło na sztandary

i powiedziałem: „Ciemnogród? Proszę bardzo, jestem dumny z tego!”

Dla wielu jednak słowo to nadal kojarzy się negatywnie, a skrajanie odżyło w ostatnich tygodniach.

W jednym z ostatnich numerów wydawanego w Skórczu „Tygodnika Parafialnego” ukazał się artykuł pt. „Podsumowanie wizyt



Artykuł księdza proboszcza podzielił parafialną wspólnotę.

Fot. Tomasz Konopacki

duszpasterskich w parafii św. Rocha w Osieku”, podpisany przez księdza proboszcza **Zdzisława Ossowskiego**. Oddaje w nim ksiądz wrażenia z odwiedzin w poszczególnych domach swych 1770 parafian, a na koniec wymienia (z pełnym imieniem i nazwiskiem, z adresem) 30 rodzin, które nie przyjęły kołedy. Wymienione zostały także nazwiska dwóch „zdeklarowanych ateistów”. Po tym zdarzeniu po Osieku zaczęła krążyć plotka o „odszczerpieniach”.

„Tygodnik Parafialny” ukazuje się w nakładzie około 2 tys. egzemplarzy i dociera do czytelników w pięciu parafiach: Barłozno, Grabowo, Osiek, Pączewo

i Skórcz. Jeżeli pojedynczy egzemplarz tej gazety trafia średnio w ręce 5 czytelników, z „czarną listą” miało okazję zapoznać się 10 tys. osób.

„Szkoda, że aż trzydzieści rodzin

zamknęło dom przed księdzem - pisze ks. Ossowski. - A przecież wszyscy wiedzieli kiedy odbędzie się kołoda i wiedzieli to na miesiąc przed przyjściem. Można więc było przełożyć termin, można było się usprawiedliwić, można było w końcu zadzwonić do biura parafialnego i poinformować o pilnym, czy nieoczekiwanym wyjeździe. (...) Już dziś - tym razem rok przed następną

kołodą - ogłaszam, że jak Pan Bóg pozwoli, to w przyszłym roku znów będę pukał do wszystkich drzwi waszych rodzin. Może okaże się, że ktoś przez rok zrozumiał swój błąd, a może przez ten czas lepiej pojął swoje chrześcijaństwo. Rok to długi okres w życiu człowieka. Wszystko w nim może się wydarzyć: i pogłębienie wiary, i nawrócenie, i chęć uregulowania swoich spraw małżeńskich i można także w tym czasie odprawić nie jedną spowiedź św.”

Nie można mówić, że nie chcieliśmy przyjąć księdza. Po prostu nie było nas wtedy w domu - powiedział „Dziennikowi” **Sławomir Łukaszewski**, jeden z wymienionych na „czarnej li-

15.01.1997

Tygodnik Parafialny

PODSUMOWANIE WIZYT DUSZPASTERSKICH w Parafii św. Rocha w Osieku

Na okładce: W tym tygodniu w parafii św. Rocha w Osieku odbyły się wizyty duszpasterskie. W tym tygodniu w parafii św. Rocha w Osieku odbyły się wizyty duszpasterskie. W tym tygodniu w parafii św. Rocha w Osieku odbyły się wizyty duszpasterskie.

PODSUMOWANIE WIZYT DUSZPASTERSKICH w Parafii św. Rocha w Osieku

dotyczy wizyt z 15.01.1997

Wizyta w domu:

Wizyta w domu: 1. Kociewski, 2. Kociewski, 3. Kociewski, 4. Kociewski, 5. Kociewski, 6. Kociewski, 7. Kociewski, 8. Kociewski, 9. Kociewski, 10. Kociewski, 11. Kociewski, 12. Kociewski, 13. Kociewski, 14. Kociewski, 15. Kociewski, 16. Kociewski, 17. Kociewski, 18. Kociewski, 19. Kociewski, 20. Kociewski, 21. Kociewski, 22. Kociewski, 23. Kociewski, 24. Kociewski, 25. Kociewski, 26. Kociewski, 27. Kociewski, 28. Kociewski, 29. Kociewski, 30. Kociewski.

ście” proboszcza. - Żona była w tym czasie w górach z dziećmi, a ja w Gdańsku. Gdybyśmy byli w domu, na pewno przyjęlibyśmy księdza. Tym co się stało jestem bardzo zaskoczony, nigdy wcześniej nie spotkałem się z podobną praktyką. Osobiście nie widziałem tej gazety i nie czytałem tego artykułu. Jeżeli ksiądz napisał w nim tylko, że ktoś nie przyjął kołedy, to po prostu stwierdził fakt. Mogło też chodzić o to, że w trakcie kołedy ksiądz zbierał deklaracje pomocy i

ofiary na remont kościoła

i dlatego wymienił tych, którzy poprzez nieprzyjęcie księdza, nie dołączyli się do ofiarodawców.

- Dla mnie jest to po prostu śmieszne i nie mam zamiaru tego komentować. Jestem ponad tego typu rozgrywkami - dodaje jego żona, Dorota.

Nie powinien ksiądz tego robić, taka lista to poniżenie człowieka - stwierdził jeden z wierzących i praktykujących mieszkańców Osieka (słowa listy). - Każdy ma prawo robić co chce, może chodzić do kościoła lub nie, a osądzony będzie na końcu, na sądzie ostatecznym. Nie do księdza jest sądzić, którzy z parafian są lepsi, a którzy gorsi. A już w ogóle nie powinien posługiwać się przy tym nazwiskami i adresami, i to w gazetce, którą czyta wiele ludzi. O to właśnie dużo mieszkańców ma do niego pretensje. Z jakiej racji bowiem miałby mi ktoś wypominać, że ja „to i tamto”. Jeden drugiego tu zna, a taka lista tylko „złej krwi” w Osieku narobiła.

To jest bardzo dobry ksiądz, nawet lepszy od poprzedniego, który odszedł zeszłego lata, ale niepotrzebnie bawi się w takie pisma - słyszemy od jeszcze kilku innych osób. - To co robi w kościele jest naprawdę dobre i chyba nie ma w parafii człowieka, który by księdza Ossowskiego nie lubił. Dopiero teraz, po tej liście, zrobił się szum i to głównie wśród wierzących, których nie ma na liście. Zresztą tu wszyscy chodzą do kościoła,

nie ma u nas ateistów.

Moja koleżanka powiedziała proboszczowi tylko, że jest wierząca ale niepraktykująca, a ten ją z nazwiska jako ateistkę wymienił - mówi z oburzeniem jedna z kobiet.

Mówiliśmy księdzu, że pani Marianny nigdy zimą nie ma w domu, bo jako samotna starsza kobieta spędza ten okres u córki w Gdańsku - powiedzieli nam sąsiedzi jednej z wymienionych na liście osób. - Wiadomo, że nie przyjedzie tu specjalnie na kołedę, tylko spotka się z księdzem w Gdańsku. Jak zatem nasz proboszcz, wiedząc o tym, mógł wymienić ją na takiej liście w gazetce. Poza tym, to chyba nasza prywatna sprawa czy przyjmujemy księdza, czy też nie. Mamy przecież w Polsce wolność wyznania.

Proboszcz początkowo nie chciał rozmawiać z nami na temat swojego artykułu w „Tygodniku Parafialnym”. W końcu jednak powiedział nam, że zrobił to

by głosić prawdę,

a nazwiska wymienił, aby nie było żadnych plotek i domysłów, które z rodzin go nie przyjęły. Jest bowiem w parafii wiele podobnie brzmiących nazwisk i ksiądz nie chciał aby kogokolwiek mylono z tą trzydziestką. Poza tym, według proboszcza, jest to normalna działalność duszpasterska i podaniem do publicznej wiadomości nazwisk i adresów rodzin, które go nie przyjęły na kołędzie, nie zrobił on niczego złego.

Dziwi mnie, że gazeta się tym tematem zajęła, bo nikt z parafian nie zgłaszał do mnie jeszcze żadnych pretensji. To raczej ja powinienem się obrazić, że nie chciano mnie nie wpuścić do tych mieszkań - powiedział nam proboszcz Ossowski.

Jako gmina nie wtrącamy się w sprawy parafii. Wiem jednak, że najczęściej szumu wokół tego artykułu robią ci, których on nie dotyczy. Osoby z listy prawie w ogóle nie zajmują w tej sprawie głosu - twierdzi wójt gminy, **Grzegorz Ostrowski**.

Teraz to robi się u nas prawdziwy ciemnogród, a gminą chyba będzie rządził pleban, nie wójt. Wie pan co tu się latem na zlocie działo? Rzucali jajami w zdjęcie ministra Wiatra, kopali dół Kwaśniewskiemu. A teraz jeszcze ta „czarna lista”. Czego ci ludzie mogą się teraz spodziewać? Chyba tego, że ich na kolejnym zlocie ukamienują - wieszczy pan G. z Osieka.

Tomasz Konopacki

Okablowany świat

Revolucja informatyczna i komunikacyjny boom ogarnął przede wszystkim biznes. Co prawda w Polsce biznesmeni na razie używają telefonów komórkowych raczej do podnoszenia własnego prestiżu w oczach rywali, niż do handlowej korespondencji, ale w zachodnim świecie, gdzie komórka jest zwykłym narzędziem, jej znaczenie w podwyższaniu dochodów dostrzeżono już dawno. Jeszcze bardziej wpływają na intensyfikację zysków komputery, podłączone do sieci Internetu.

Według jednego z ostatnich numerów tygodnika „Time” doskonałym przykładem może być tu amerykańska firma Hewlett-Packard, z której doświadczeń wynika, że podłączenie do sieci Internetu komputerów osobistych jej pracowników nie tylko podniosło wydajność, ale pozwoliło jej menedżerom na poświęcanie większej ilości czasu poszczególnym klientom.

Nie ma jutra bez komputra

Jeden z największych światowych producentów samolotów, amerykański Boeing, zatrudnił trzy wyposażone w komputery i podłączone do sieci zespoły pracowników przy pracach projektowych nad nowym modelem pasażerskiego liniowca 777, rezygnując z tradycyjnych prób nad modelami w tunelach aerodynamicznych i zaoszczędził jedną trzecią czasu przy projektowaniu samolotu. Cała praca została wykonana w rzeczywistości... wirtualnej.

Ci, którzy popełnili grzech zaniechania i nie wprowadzili na czas takich zdobyczy rewolucji informatycznej, jak powszechne podłączenie do Internetu, znajdują się dzisiaj na liście pokonanych - firm, którym się nie powiodło. Wymienia się wśród nich Groupe Bull, U.S. Steel, czy... Apple. Gerhard Schulmeyer, menedżer, który w 1995 roku uratował niemiecką firmę Siemens Nixdorf od katastrofy, pytany o tajemnicę sukcesu, za każdym razem cierpliwie odpowiada: - Ekstremalne zmiany można przeprowadzać dzisiaj tylko wtedy, gdy towarzyszą im zmiany w systemie komunikacji.

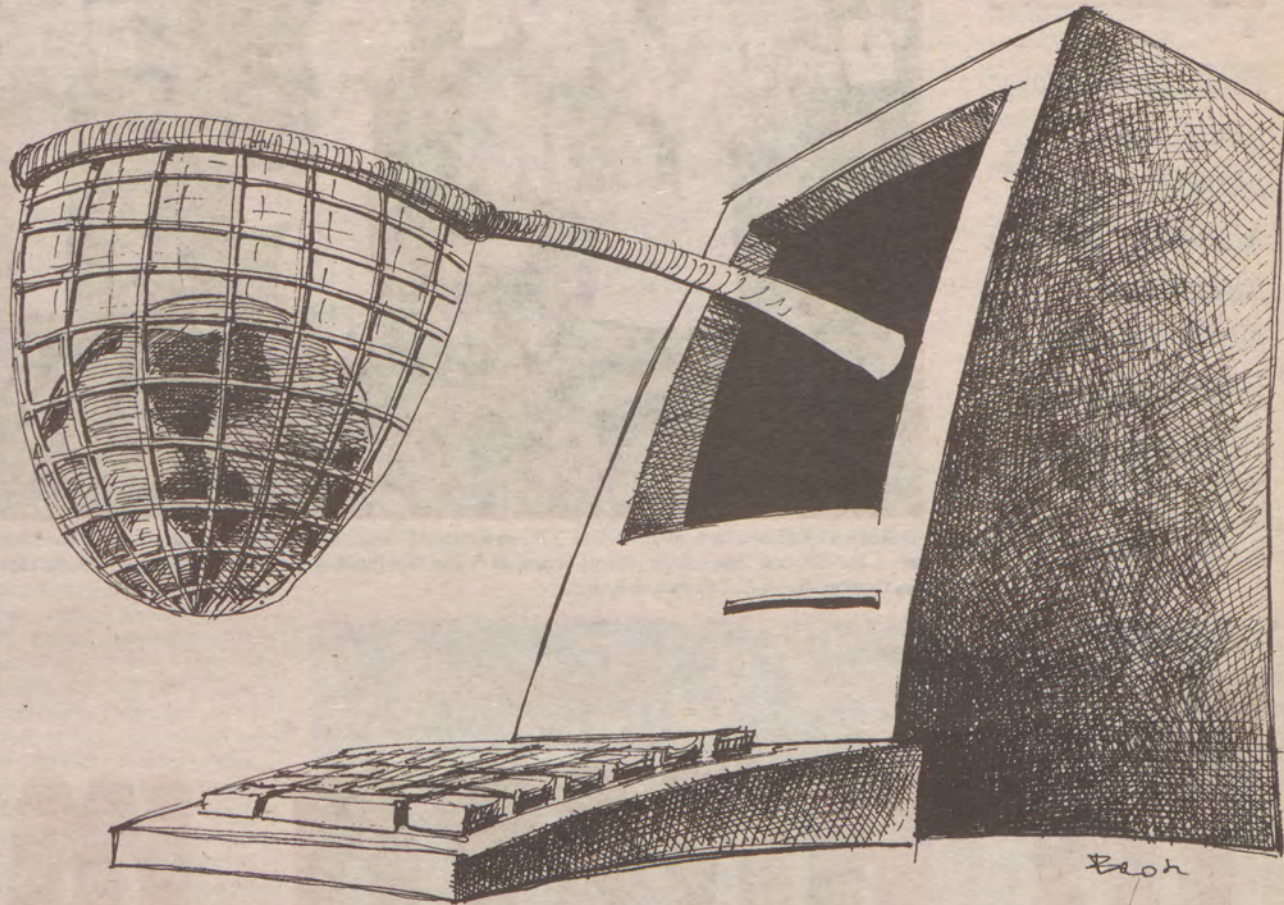
Stara, zacofana Europa?

W świecie, okablowanym tysiącami kilometrów światłowodów, gdzie informacja krąży z prędkością 300 000 km/h Europa nie może pozostać z tyłu. Ale jak wprowadzać wielkie zmiany technologii informatycznej na kontynencie, który nie potrafi znormalizować gniazdek elektrycznych? - pytają sceptycy. W dodatku koszt komputera osobistego i opłaty za podłączenie do sieci są tutaj znacznie wyższe niż w USA. Przy tym pojawia się nowa choroba: netofobia - obawa, głównie szefów, przed utratą swojej wyłączności decyzyjnej za sprawą powszechnie dostępnego Internetu. Szef europejskiego biura firmy Microsoft, Bernard Vergnes, zauważa, że oferty podłączenia do sieci wysyłane do przedsiębiorstw i urzędów są co prawda przyjmowane, jednak klienci życzą sobie dostępu do sieci głównie dla swoich szefów i wyższego kierownictwa.

- Zawsze im mówię: to musi być dla każdego, w przeciwnym razie zapomnijcie o sieci.

Samuraje w Internecie

Choć wydaje się to zadziwiające, podobny problem występuje w... Japonii. Jeżeli już firma z Kraju Kwitnącej Wiśni i najnowocześniejszej elektroniki decyduje się na „bycie w sieci”, to końcówki Internetu najczęściej znajdują się na biurkach bossów. Dziennika-



Rys. Bartłomiej Brosz

rze jednego z tamtejszych magazynów wysłali listy pocztą e-mailową do 160 najwyższych menedżerów wybranych firm, aby przekonać się, kto osobiście im odpisze. Okazało się, że pośród 70 firm, które odpowiedziały na listy, ponad połowę stanowiły te, których szefowie w ogóle nie posługują się Internetem. Odpisywali niżsi pracownicy.

Komputerowi włamywacze

Sieć to nie tylko komunikacja wszystkich ze wszystkimi, zwiększona wydajność pracy i rosnące zyski przedsiębiorstw. Sieć to tak-

że niebezpieczeństwo wykradania z osobistych komputerów najsłabszych danych a nawet tajemnic wojskowych. Pentagon domaga się od Waszyngtonu wyasygnowania około 3 miliardów dolarów na ochronę informacji, krążących w wojskowej sieci, przed hackerami - elektronicznymi włamywaczami. Najbardziej uzależniony od komputerów kraj świata jest niezwykle czuły na to, co nazywa się cyberatakiem. - Być może jest to najważniejszy problem bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych - mówi dziennikarzom „Time’a” były szef CIA, James Woolsey. Niebezpieczeństwem dla obronności kraju mogą być w przyszłości nie bomby i rakiety, ale wirusy i „robaki” wpuszczone do sieci komputerowej. Komputery armii amerykańskiej są codziennie około 1000 razy atakowane przez „włamywaczy” i sieciowych „dywersantów”. Wykrywa się zaledwie 50 spośród tych ataków, a hackerami są zarówno znudzone nastolatki, jak i wywiady kilkudziesięciu krajów świata.

Infostrady

Mimo wad i niebezpieczeństw, sieć rozwija się, jak żaden ludzki wynalazek do tej pory. Gigantyczna infostrada oplata już kulę ziemską. Projekt FLAG (Fiber optic Link Around the Globe - Światłowodowe Połączenie Dookoła Świata), który obejmuje 28 tysięcy kilometrów kabla, kosztującego około 1,5 mld dolarów, jest już prawie ukończony. Światłowodowa autostrada biegnie po dnie oceanów i mórz z Wielkiej Brytanii do Japonii. Dwa pozostałe główne kierunki to łączy: Ameryka-Europa i Daleki Wschód-Europa.

Innym „megaprojektem” jest budowana kosztem 1,3 miliarda dolarów trójliniowa infostrada, łącząca południowo-wschodnią Azję, środkowy wschód i zachodnią Europę. Dzięki światłowodowej technologii możliwe będzie prowadzenie jednocześnie 120 000 jednoczesnych rozmów telefonicznych.

Na mapie „informatycznych rurociągów”, opublikowanej przez tygodnik „Time”, znajdujemy gęstą sieć u zachodnich wybrzeży Europy i internetową pustynię w jej wschodnim krańcu. Pocieszeniem może być fakt, że pośród takich informatycznych metropolii jak Londyn, Paryż, czy Amsterdam znalazł się... Gdańsk.

Tomasz Zajac

e-mail: t.zajac@prasabalt.gda.pl

NAJDŁUŻSZA ŚWIATOWA SIEĆ PODWODNA



STUDIO BUM

Projekt FLAG (Fiber optic Link Around the Globe - Światłowodowe Połączenie Dookoła Świata), który obejmuje 28 tysięcy kilometrów kabla, jest już prawie ukończony.



Usiłowałam ustawić panie, jak na pierwowzorze. Niezupełnie się udało. Niektórych z pierwszego planu nie było albo na jedno miejsce zgłaszały się dwie, a i trzy pretendenci...



„Delikatesy II”: 1. Elżbieta Nichnerowicz-Bielicka, 2. Danuta Kamińska-Hohnke, 3. Danuta Chmielewska-Kowaluk, 4. Janina Pokarska-Polewka, 5. Wiesława Krause-Śmigalska, 6. Antonina Orzelska-Plesun, 7. Krystyna Iwaszkiewicz-rada, 8. Ewa Marciniak-Słaba, 9. Elżbieta Turala-Grajdek, 10. Danuta Noga-Paszek, 11. Urszula Sedlak-Sękowska, 12. Barbara Szlagowska-Rybak, 13. Alicja Sienicka-Poprawska, 14. Joanna Łucyk, 15. Stanisława Kondrat-Pawluczuk, 16. Ewa Ostapczuk-Wietek, 17. Zofia Bartosik-Konopka.

Ta nasza młodość



Niektóre panie wpadały sobie z okrzykami w ramiona.

Był rok 1964. Miały po kilkanaście lat. Saffandulowały Gomółka jeszcze krzepko dzierzył ster władzy, ale cóż je obchodziła polityka! Ze zgniłego Zachodu przyszło pierwsze uderzenie mini, więc krochmalone, kretonowe kiecki zamieniły na gorsząco kuse, wąskie spódniczki. Na szkolnych zabawach wywijały rock'n'rolla, do przytulank na prywatkach Paul Anka śpiewał im „Only You”. Boże, to były czasy!

„Delikatesy”

Polskę spowijały hasła o budowie socjalistycznej ojczyzny i wiekiowym braterstwie z bohatersko-bratnim narodem radzieckim. To pustosłowie nie robiło wrażenia. Stanowiło coś na kształt środowiska naturalnego, w którym się żyje, ale którego się nie zauważa.

Przygotowania do hucznych obchodów XX-lecia PRL szły pełną parą. Wybrane z wybranych ćwiczyły pilnie układy gimnastyczne. Fotoreporter Zbigniew Kosycarz robił zdjęcia z prób. Och, jak były przejęte i dumne: rodzice i znajomi wyrwali sobie gazety z rąk. Najślawniejsza z fotografii, zatytułowana „Delikatesy”, została nagrodzo-

na na międzynarodowym konkursie fotografii prasowej.

W „Rejsach” z 10 stycznia br., w drugą rocznicę śmierci Zbigniewa Kosycarza, przywołaliśmy postać najpopularniejszego fotoreportera Wybrzeża, przypomnieliśmy jego zdjęcia sprzed lat. Między innymi były „Delikatesy”. Pomysł, aby odszukać dziewczyny z fotografii chwycił: opublikowaliśmy apel i rozdzwoniły się telefony.

„Delikatesy II”

Wymyślił się tak: panie, które rozpoznały siebie na fotografii, w lutym sobotnie po południu stawiały się przed Delikatesami Starogdańskimi przy ul. Rajskiej w Gdańsku, a Maciej Kosycarz, syn Zbigniewa, pstryknie „Delikatesy II”. Potem przejdziemy do redakcji, pogadać, powspominać, pooglądać albumy i pamiątki, które uczestniczki spotkania przyniosą ze sobą.

Pan Władysław Kotłowski, właściciel „Delikatesów”, był serdecznym przyjacielem Zbigniewa Kosycarza. O zamierzonej akcji pod jego sklepem dowiedział się od Maćka. Zareagował spontanicznie.

- Ja te panie zapraszam do kawiarni w hotelu „Hevelius” - powiedział - zorganizuję im małe przyjęcie. Wyszło, że wcale nie takie małe, ale o tym za chwilę.



Dziewczyny z sopockiej „handlówki”



„Delikatesy” Zbigniewa Kosycarza - od tej fotografii wszystko się zaczęło.

Więc rozdzwoniły się telefony. Na listę wpisaliśmy dwadzieścia dwie panie. Niektóre miały wątpliwości - może to one są na zdjęciu, a może nie? Więc co robić? - Jak to, co? Przyjść!

Przyszły czterdzieści trzy.

Nóżka do przodu
Nie wystarczyło pamiątkowych plakietek z logo „Dziennika” oraz reprodukcji archiwalnego zdjęcia. Przygotowaliśmy - na wszelki wypadek - po 30 kompletów... Zawiodła nas wyobraźnia.

Niektóre panie już przed godziną dwunastą stały w grupkach przed „Delikatesami”, rozgadane, roześmiane. Wpadały sobie z okrzykami w ramiona, zaintrygowani przechodnie gapili się na to widowisko. Wiał okropny wiatr, a one przeglądały albumy, wyrzywały sobie zdjęcia i nie słyszały nawoływań, żeby wreszcie się ustawić, zrobić zdjęcia, iść na kawę, wygodnie się rozsiąść i nacieszyć sobą.

Nadszedł pan Kottowski, zobaczył radosne kłębówisko,

omiólt wzrokiem. Przywitał się tylko i popędził z powrotem do „Heveliusa” dostawiać stoliki i krzesła. Maciek Kosycarz, z odbitką ojca w dłoni, usiłował ustawić panie, jak na pierwowzorze. Niezupełnie się udało. Niektórych z pierwszego planu nie było, albo na jedno miejsce zgłaszały się dwie, a i trzy pretendentki. W końcu rozdaliśmy numerki od 1 do 17 i zaczęło się pozowanie.

- A teraz wysuwamy nóżkę do przodu - zakomenderował Maciek.

Rekonstrukcja

W kawiarni czekały: kawa, soki, szampan, garnirowane torciki, tace z owocami i kruchymi ciasteczkami, zapalone świece. Wszystko ustawione ze smakiem. Już między filiżankami piętrzą się amatorskie fotografie z życia szkoły, kolekcje legitymacyjnych zdjęć koleżanek, pozółtkie wycinanki z gazet, relacjonujących gigantyczny pokaz 1400 gdańszczanek na warszawskim stadionie X-le-

cia, gdzie odbywały się centralne obchody XX-lecia PRL.

Dziewczyny z trójmiejskich szkół średnich trenowały gimnastyczne układy miesiącami. Autorkami choreografii były nauczycielki w-f: prof. prof. Wanda Borne, Adriana Studzińska i Maria Łozińska, prawdziwe specjalistki od aranżowania tego typu imponujących widowisk. Układy nie były łatwe, wymagały nie lada sprawności. Dziewczęta ćwiczyły szpagaty i świece, piramidy, stójki, fale z wstążkami, tocenie w kole. Najpierw robiły to w swoich szkołach, były specjalnie zwalniane z lekcji (co za frajda!) i miały, jak w banku, zapewnioną lepszą notę z wychowania fizycznego. Potem były ogólnoszkolne spędы na stadionie Lechii - zjeżdżało się dwa tysiące uczennic. „Delikatesy” były robione właśnie na stadionie Lechii.

Wyjazd do Warszawy nie był przymusowy, jednak znakomita większość pojechała. Dla nich to była atrakcja i przygoda. Przed

wyjazdem otrzymały stroje. Jedna grupa dostała białe tuniki, one - granatowe trykoty. W Warszawie upały były takie, że muchy w locie mdlały. O czwartej nad ranem zbierano je z kwater rozrzuconych po całej stolicy i dowożono na stadion, na próby. Po kilku godzinach odwożono je z powrotem. W południe, kiedy miasto zamierało w skwarze, ruszały na zwiedzanie.

22 lipca ich sportowe popisy oglądały tysiące widzów oraz towarzysze Gomółka i Chruszczow. W gazetach wypisywano same superlatywy i podkreślano, że dziewczęta z Gdańska były najliczniejszą grupą młodzieży uczestniczącej w czczeniu rocznicy.

Retrospekcja

Było biednie, ale wesoło - mówi. Trzymano je krótko, rygor w szkole był okropny. Żadnych makijaży, farbowania włosów. Na zabawy, na studniówki - granatowa spódniczka i biała bluzka. Na co dzień mundurek i tarcza, koniecznie przyszyta, bo wychowawczynie stały przy wejściowych drzwiach i sprawdzały. Nie daj Boże było przyjąć w lepszym paletku albo czapce po mamie, z nieco wyleniałych nerek. Wychowawczynie potrafiły wywlec na środek klasy i ochrzanić, że się w głowie przewraca. Zabawy szkolne odbywały się niemal co

sobotę i niedzielę. Dziewczyny z liceów żeńskich szły do chłopaków na zabawę parami, pod kurelę nauczycielki. Panny wbijały się w wąskie spódniczki, bo szersze wirowały w tańcu i czasem majtki było widać. Jak belferka zauważyła, było przechla-pane. Chłopaki z „morskiej” na zabawy do dziewcząt wmaszerowywali zwartym, niemal defiladowym, szykiem. Odmaszerowywali też na komendę. Bawiono się przeważnie przy płytach - akurat nastał szal bitelsomanii - odtwarzanych na pocziwych adapterach „Bambino”. O dziesiątej trzeba było być w domu. Po ulicach i kawiarniach grasały osławione trójki rodzicielskie, które młodzież, żadną dorosłego życia, bezlitośnie przeganiały do domów i skarżyły w szkole. A one, jak szalone, biegały po kryjomu do gdańskiego „Żaka” i sopockiego „Non stopu” i zdzierały w tańcu do gołych pięt tenisówek albo pantofle „kaczuski” - rekwiżyt z zakazanej szkolnej listy.

Elka, jak ty się nazywasz?

Na zdjęciu rozpoznały siebie dziewczyny z technikum Handlowego w Sopocie, Liceum Ogólnokształcącego w Rumii, Technikum Ekonomicznego z Gdańska przy ul. Seredyńskiego, Liceum Pedagogicznego i II Liceum

Ogólnokształcącego z Gdyni, Liceum Pedagogicznego z Oliwy. Niektóre spotykają się co parę lat, z okazji szkolnych jubileusów, inne utrzymują koleżeńskie kontakty, widują się częściej. Dziewczyny z sopockiej „handlówki” nie widziały się od czasu ukończenia szkoły. Szły na spotkanie z niepokojem, pełne obaw. Czy się rozpoznamy? Czy się bardzo zmieniłyśmy? Wcale! Rozpoznały się od razu, wróciły wspomnienia, nie mogły się nagać, nadawiały: jak żyjesz, ile masz dzieci, kim jest mąż? Wymieniały adresy, umówiły się na spotkanie w maju.

- Elka, jak ty się nazywasz? - pytała jedna drugą, trzymając długopis w garści.

Na początku spotkania indagowano pana Kotłowskiego, który po kurtuazyjnych pięciu minutach taktownie zbierał się do wyjścia, jak długo można w kawiarni pozostać.

- Jak długo panie chcecie - odpowiedział. Zasiadziały się do szesnastej.

A w niebie, na różowej chmurce, leżał Zbyszek Kosycarz, cmił ukradkiem papierosa - Pan Bóg przymknął oko - patrzył i uśmiechał się z aprobatą.

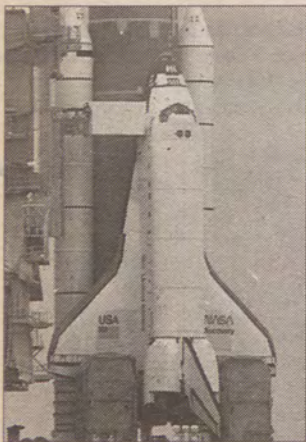
Rita Krzyżaniak
Zdjęcia: Maciej Kosycarz



...stały się od czasu ukończenia szkoły.



Między filiżankami piętrzyły się amatorskie fotografie z życia szkoły, kolekcje legitymacyjnych zdjęć koleżanek, pozółtkie wycinanki z gazet.



Wahadłowiec Discovery, z 7 członkami załogi na pokładzie, na krótko przed startem do 10-dniowego lotu orbitalnego.

Fot. PAP/CAF-EPA

Jaki ten teleskop

Hubble, wspólne dzieło amerykańskiej agencji NASA i europejskiej ESA, waży 12 ton i jest wielkości autobusu. Ma pozostać na orbicie przez co najmniej 15 lat. Jego głównym elementem jest olbrzymie zwierciadło o średnicy 2,4 metra i wąż 900 kg. Już po umieszczeniu na orbicie okazało się, że zwierciadło zostało niedokładnie wykonane, co spowodowało, że Hubble stał się „krótkowidzem”. Wadę tę udało się usunąć podczas misji wahadłowca w 1993 r.

Co dał

Hubble umożliwił astronomom obserwację ponad 10 tys. obiektów i przesłał ponad 100 tys. zdjęć. Dzięki teleskopowi orbitalnemu naukowcy mieli okazję obserwowania kolizji między galaktykami, powierzchni Plutona, narodzin gwiazd i odkrycia istnienia kwazarów w licznych galaktykach.

Co wymieniono

Podczas remontu w otwartej ładowni Discovery astronauta zainstalowali Hubble'owi m. in. wieloczynnościową kamerę na podczerwień wartości 105 mln dolarów, która umożliwi dokonywanie obserwacji jeszcze odleglejszych rejonów Wszechświata. Ponadto zainstalowany został spektrometr nowej generacji, wartości 125 mln dolarów, służący do analizy światła emitowanego przez gwiazdy oraz spektrograf - aparat do analizy składu chemicznego ciał niebieskich. Hubble otrzymał też wiele innych mniejszych urządzeń, m. in. nowy cyfrowy magnetofon do zapisu danych i dokładniejsze czujniki kierujące ruchami zwierciadła. Astronauci remontowali też osłonę termiczną teleskopu.

Co to da

Spektrograf STIS przez analizę składu chemicznego ciał niebieskich umożliwi astronomom prowadzenie poszukiwań olbrzymich czarnych dziur w przestrzeni kosmicznej. Kamera NICMOS posiada czujniki, które ułatwią naukowcom wgląd w najodleglejsze zakątki Wszechświata i poprzez zasłonę z pyłu kosmicznego prowadzenie obserwacji narodzin gwiazd. Učení mają nadzieję, że dzięki nowej kamerze uzyskają pierwsze zdjęcia planet obiegających dalekie gwiazdy.

Remont na orbicie

13 lutego, czwartek

Załoga wahadłowca Discovery przechwyciła za pomocą automatycznego manipulatora i umieściła w ładowni statku teleskop Hubble'a, który poddany tam zostanie pracom modernizacyjnym. Precyzyjnej i dość ryzykownej operacji dokonał astronauta Steven Hawley, który kierował ruchami, liczącego 15 metrów długości, wysięgnika. Wahadłowiec i teleskop znajdowały się wówczas na wysokości 575 km nad Pacyfikiem, na południowy zachód od Meksyku. Hawley, który specjalnie powrócił do korpusu astronautów NASA, aby wziąć udział w tej misji, był właśnie tym astronautą, który w 1990 r. wypuścił, ważący 12 ton i wart ponad 2 mld dolarów, teleskop z ładowni wahadłowca, którym był wówczas także Discovery. Jak powiedział dowódca Discovery Ken Bowersox, Hawley wyglądał „jakby właśnie uściśnął dłoń starożytnego przyjaciela”. Bowersox, który brał udział w misji naprawy teleskopu w 1993 r., dodał, że Hubble wygląda tak samo, jak wówczas. Teleskop został umieszczony na specjalnej platformie naprawczej w ładowni, co ułatwi astronautom pracę.

14 lutego, piątek

W nocy z czwartku na piątek dwaj amerykańscy astronauta Mark Lee i Steve Smith odbyli pierwszy z zaplanowanych czterech „spacerów” kosmicznych, w ramach których orbitalny teleskop Hubble'a liczący już siedem lat, zostanie poddany ogólnej renowacji w otwartej ładowni

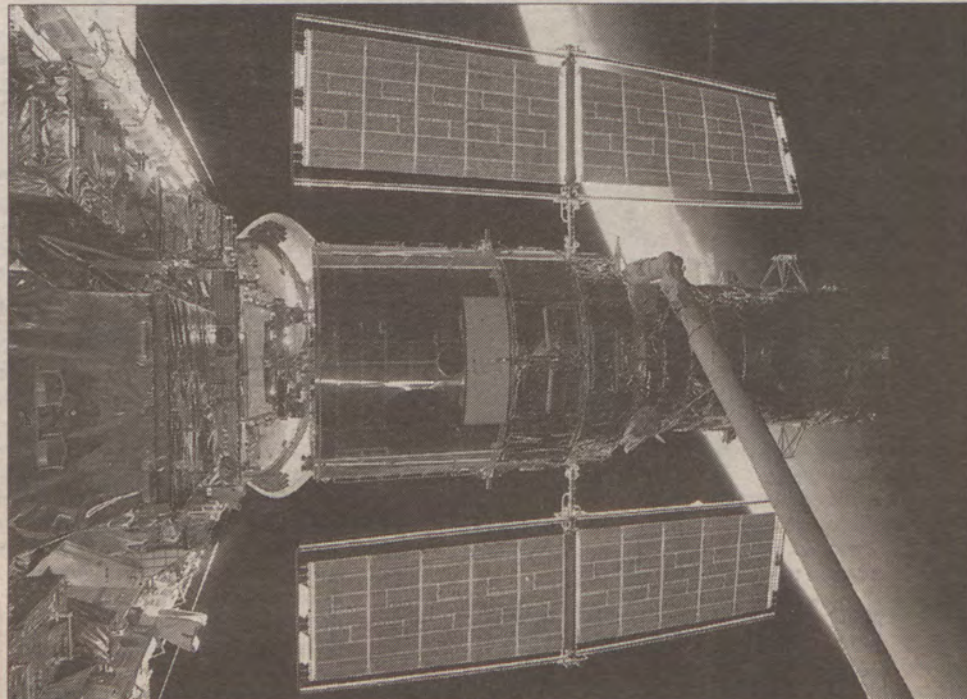
ni wahadłowca Discovery. Wyjście astronautów w otwartą przestrzeń trwało oficjalnie 6 godzin i 42 minuty i w pełni się udało. Rozpoczęło się jednak pechowo i z opóźnieniem jakieś 570 km nad Ziemią, gdy Discovery przelatując nad Australią. Jeden z kolektorów baterii słonecznej nieoczekiwanie zawrócił i obrócił się jak rozwieszona na sznurze bielizna; dlatego ośrodek kontroli lotu polecił załodze wstrzymać się z wyjściem do ustalenia przyczyny incydentu. Okazała się ona prozaiczna: strumień powietrza pod dużym ciśnieniem, który dostał się do luku po otwarciu służby dekompresyjnej.

15 lutego, sobota

Drugie wyjście w przestrzeń kosmiczną, w nocy z piątku na sobotę, dwójki amerykańskich astronautów z wahadłowca Discovery dla dokonania napraw i modernizacji teleskopu Hubble'a zakończyło się pomyślnie. Wszystkie planowane zadania zostały zrealizowane. Podczas trwających 7 godzin i 15 minut - godzinę i 15 minut dłużej niż przewidywano - prac przy teleskopie, znajdującym się obecnie w otwartej ładowni wahadłowca, Greg Harbaugh i Joe Tanner wymienili m.in. dwa aparaty rejestracji danych technicznych lotu orbitalnego, które uległy awarii.

16 lutego, niedziela

Dwaj astronauta z amerykańskiego wahadłowca Discovery w nocy z soboty na niedzielę (o godz. 4.10 czasu warszawskiego w niedzielę) po raz trzeci wy-



Teleskop Hubble'a podczas przechwytywania przez ramię wysięgnika zdalnie sterowanego z pokładu wahadłowca Discovery 13 bm. - w oddali widoczna poświata Ziemi.

Fot. PAP/CAF-AP

szli w otwartą przestrzeń kosmiczną, by kontynuować prace naprawczo-modernizacyjne przy orbitalnym teleskopie Hubble. Mark Lee i Steve Smith weszli do otwartej ładowni promu kosmicznego, gdzie umieszczony został teleskop, by wymienić kolejne elementy Hubble'a. Tym razem astronauta m.in. wymienią drugi aparat rejestrujący dane techniczne i inne informacje dotyczące lotu teleskopu, kiedy nie utrzymuje on łączności z ośrodkami odbiorczymi na Ziemi.

17 lutego, poniedziałek

Wszystkie zadania postawione przed załogą wahadłowca Discovery, dotyczące reperacji i modernizacji teleskopu Hubble'a, zostały zrealizowane - oświadczył w poniedziałek rzecznik NASA, po zakończeniu czwartego wyjścia w przestrzeń kosmiczną dwóch astronautów. Podczas tej „zmiany roboczej”, trwającej 6 godzin i 34 minuty, Greg Harbaugh i Joe Tanner wymienili zespoły elektrochemiczne kontrolujące pozycję baterii słonecznych, zapewniających Hub-

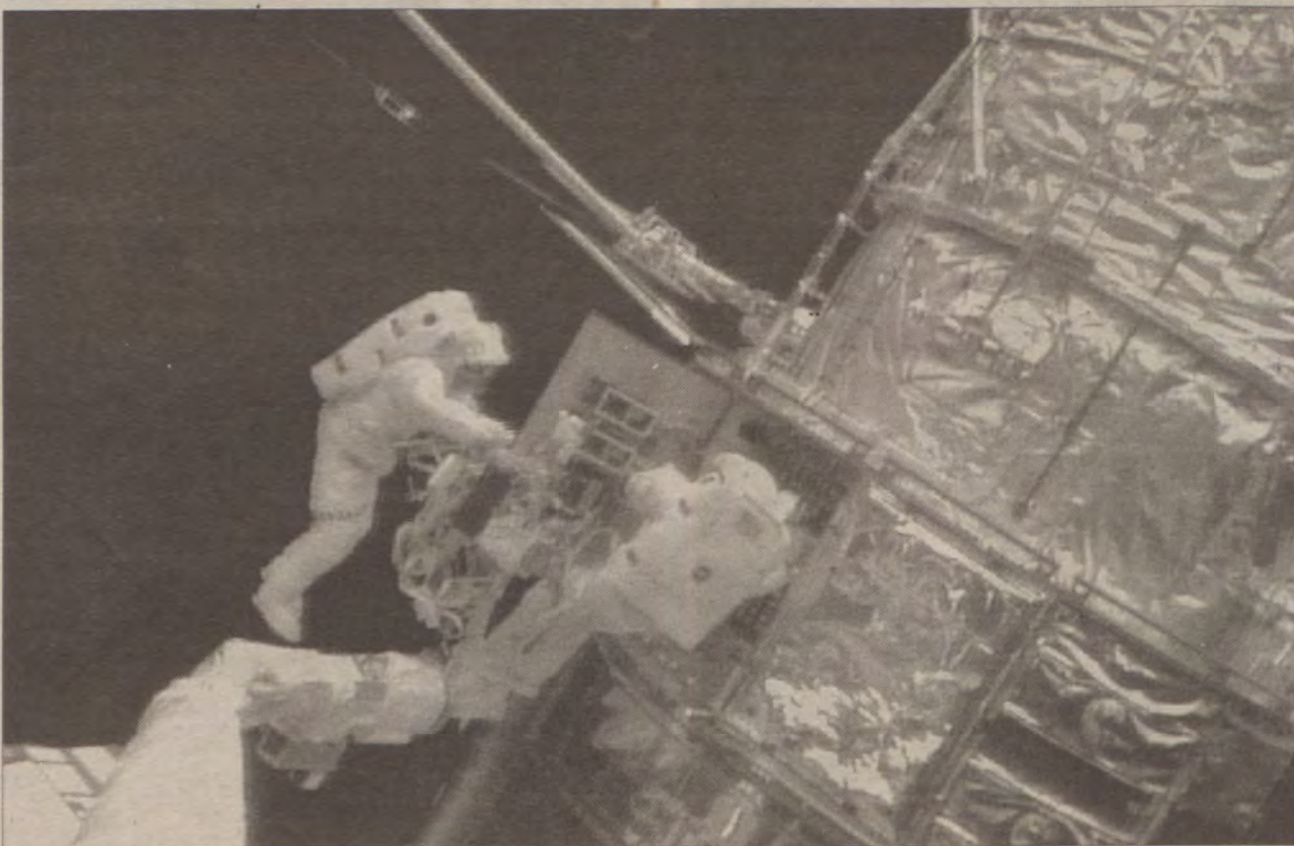
ble'owi energię elektryczną. Zespoły te, określane skrótem SA-DE /Solar Array Drive Electronics/, wyprodukowane zostały przez Europejską Agencję Kosmiczną /ESA/. Testy przeprowadzone z Ziemi wykazały, że nowa aparatura działa zadowalająco. Astronauci dokonali jeszcze jednego, nie planowanego, wyjścia w przestrzeń kosmiczną w nocy z poniedziałku na wtorek, aby kontynuować naprawę osłony termicznej teleskopu, po czym Hubble został ponownie wypuszczony w przestrzeń kosmiczną. Astronauci spędzili w czterech wyjściach łącznie w otwartej ładowni Discovery 27 godzin i 54 minuty.

18 lutego, wtorek

Astronauci Mark Lee i Steve Smith po raz ostatni podczas obecnej wyprawy wyszli w nocy z poniedziałku na wtorek z wahadłowca Discovery w otwartą przestrzeń kosmiczną, by zakończyć prace naprawczo-renowacyjne orbitalnego teleskopu Hubble. Tym razem astronauta koncentrowali się na naprawie osłony termicznej teleskopu Hubble. Remontowali te części osłony teleskopu, które zostały poważnie uszkodzone wskutek gwałtownych zmian temperatury, jakie następują podczas każdego okrążenia Ziemi. Jest ona bardzo wysoka, kiedy teleskop wystawiony jest na działanie promieni słonecznych i bardzo niska, gdy znajduje się on w cieniu Ziemi. Dodatkowe wyjście w kosmos (trwało 6 godz. i 30 min.) odroczyło o jeden dzień - do środy - wypuszczenie na orbitę teleskopu Hubble'a; w chwili zamykania tego numeru „Rejsów” załoga Discovery wracała na Ziemię.

Na podstawie

PAP, AFP, AP, Reutersa oprac. TS



Astronauci z promu kosmicznego Discovery Joseph Tanner (z lewej) i Gregory Harbaugh naprawiają osłonięty teflonową folią teleskop Hubble'a w poniedziałek 17 lutego.

Fot. PAP/CAF-AP Photo/NASA TV

Puszczony z torbami? - po drugim procesie O.J. Simpsona

Buty na ławie oskarżonych

Wysoki, przystojny, zawsze uśmiechnięty i doskonale ubrany. Gwiazdor futbolu amerykańskiego, aktor, ulubieniec mediów. Oskarżony o zamordowanie byłej żony i jej przyjaciela - Orenthal James Simpson. Uniewinniony szesnaście miesięcy temu w procesie karnym, teraz musi zapłacić 33,5 mln dolarów odszkodowania rodzinom zamordowanej żony Nicole i jej przyjaciela Ronalda Goldmana.

Tak orzekła biała ława przysięgłych w procesie cywilnym, którego stawką była nie głowa Simpsona, lecz jego pieniądze. O swoje życie Simpson może być spokojny. Prawodawstwo amerykańskie nie przewiduje bowiem wznowienia postępowania w sprawie karnej, w której zapadł wyrok, nawet jeśli pojawią się nowe dowody.

Nigdy nie mów nigdy

Adwokat Simpsona tak wyjaśnia przyczynę przegranej:

- To proste - inni sędziowie, inna ława przysięgłych, inne dowody. Oskarżyciele doskonale znali nasze materiały i nie popełnili tych błędów, których nam nie udało się uniknąć. Mieli także 31 zdjęć O.J. w butach firmy Bruno Magli i jego zeznania składane pod przysięgą. To zabawne, ale kluczem do zrozumienia tej historii jest jedno słowo - *never* (nigdy). Mój klient wypowiadał je w nieodpowiednich momentach. Kiedy oskarżyciel Daniel Petrocelli zapytał go, ile razy uderzył swoją żonę, odpowiedział, patrząc na zdjęcia posiniaczonej Nicole: - Nigdy. Naturalnie nikt mu nie uwierzył. Gdy zadano mu pytanie czy kiedykolwiek nosił buty firmy Bruno Magli, których krwawe ślady zostały na miejscu zbrodni, stwierdził: - Nigdy nie miałem tak okropnie brzydkich butów. Zdjęcia, dostarczone przez oskarżycieli (31 sztuk), pokazywały co innego, a para, która znalazła się w sądzie, była jedną z niespełna trzystu, jakie sprzedano w Stanach Zjednoczonych. Ława przysięgłych miała więc dokładnie 31 powodów, by nie wierzyć Simpsonowi i przyznać powodowi wielomilionowe odszkodowanie.

Strzeż się przyjaciół

Kluczem do zwycięstwa był również sposób przesłuchiwanie świadków. Oskarżyciel Daniel Petrocelli doszedł do wniosku, że jeśli chce wygrać, nie wystarczy powiedzieć ławie przysięgłych, że zabójstwo było kulminacją narastających sporów i nieporozumień byłych małżonków. Przysięgli chcieli usłyszeć historię.

Aby ją opowiedzieć, musiał prześledzić ostatnie dwa miesiące życia oskarżonego. Dlatego zdecydował się przesłuchiwać jego przyjaciół, a nie znajomych Nicole. Wielu z nich początkowo bezgranicznie wierzyło w całkowitą niewinność Simpsona. Dopiero przebieg procesu sprawił, że zmienili zdanie. Dwóch kolegów nazwało O.J. chorobliwym zazdrośnikiem, mającym obsesję na punkcie żony.

- Nicole była dziwką i narkomanką - ripostuje O.J. - Jej rodzina jest taka sama - chce mi odebrać prawo do opieki nad moimi własnymi dziećmi.



Fot. PAPICAF

Pieniądze schodzą na drugi plan

Rodziny ofiar twierdzą, że proces cywilny nie był spowodowany chęcią rewanżu, czy wzbogacenia się.

- Nie mogłam patrzeć na byłego zięcia rozdającego autografy i flirtującego z kobietami tuż po wyjściu z sali sądowej - mówi matka Nicole, Juditha Brown. - Jakby w ogóle go nie obeszło, że w brutalny sposób zamordowano jego żonę.

Proces pokazał, że czarna i biała Ameryka zupełnie inaczej rozumieją sprawiedliwość, a przepaść między nimi jest głębsza, niż

Proces pokazał, że czarna i biała Ameryka zupełnie inaczej rozumieją sprawiedliwość, a przepaść między nimi jest głębsza, niż kiedykolwiek. Skoro oskarżonym jest czarny, a ofiarami biali, to sądzić musiał żółty. Niewątpliwą zasługą sędziego Hiroshi Fujisaki było jednak to, że kwestie rasowe ani razu nie zostały przywołane na sali sądowej.

kiedykolwiek. Wszyscy pamiętają równie głośny, co kontrowersyjny, proces o zabójstwo czarnoskórego Rodneya Kinga. „Biała” ława przysięgłych uniewinniła oskarżonych policjantów, „czarno-biała” skazała dwóch z nich.

Sprawa Simpsona jest podobna. Skoro oskarżonym jest czarny, a ofiarami biali, to sądzić musiał żółty. Niewątpliwą zasługą sędziego Hiroshi Fujisaki było jednak to, że kwestie rasowe ani razu nie zostały przywołane na sali sądowej. Drugie słowo ważne w rozwiązaniu tej zagadki - *nigger* (czarnuch), które pozwoliło Simpsonowi wygrać proces karny, w procesie cywilnym nie padło ani razu.

Wyrok jest, wątpliwości pozostały

Amerykański proces cywilny różni się od przewodu karnego. W procesie karnym przysięgli mieli odpowiedzieć na pytanie: „Czy O.J. Simpson jest winny morderstwa swojej byłej żony i jej przyjaciela ponad wszelką wątpliwość?”. Zapadł wyrok uniewinniający, choć kilku przysięgłych wyznało później, że uważali O.J. za mordercę, ale mieli wątpliwości co do metod prowadzenia śledztwa i dlatego nie opowiedzieli się za wyrokiem skazującym. W procesie cywilnym pytanie brzmiało inaczej: „Czy rodziny zabitych mają prawo do odszkodowania?”. Przysięgli jednogłośnie odpowiedzieli, że tak.

Rodzicom Rona Goldmana i Nicole przyznano łączne odszkodowanie w wysokości 33,5 mln dolarów. Prawo do niego będą miały także dzieci O.J. Gdy dorosną, mogą domagać się od swego ojca pieniędzy za śmierć matki. I mają dużą szansę, by je otrzymać.

Prawnicy rodzin poszkodowanych wycenili majątek Simpsona na 15,7 mln dolarów. Zgodnie z prawem kalifornijskim, sąd już teraz może wystawić na licytację domy, pamiątki sportowe i dożywotnie karty wstępu na stadiony piłkarskie. Ponieważ to wszystko nie wystarczy na zapłacenie kary, sąd będzie przekazywał rodzinom poszkodowanych co roku 25 procent dochodów oskarżonego. A mogą być one niemałe.

Historia warta każdych pieniędzy

Czy to oznacza, że Orenthal James Simpson jest bankrutem? Z pewnością nie. Z funduszu emerytalnego, na którym są prawie dwa miliony, nie można mu zabrać ani centa. Podobnie z renty, którą co miesiąc będzie otrzymywał jako bezrobotny aktor.

Amerykański gwiazdor ma nie tylko dług. Ma też do opowiedzenia historię, którą chciałoby sfilmować wiele

reżyserów. Za każde pieniądze. Była kochanka O.J. wydaje właśnie książkę, wiele zyskały również stacje telewizyjne. Już drugi rok proces znanego futbolisty przykuwa ludzi do fotela. Wszystkie telewizje, z wyjątkiem NBC, przerwały nawet transmisję orędzia prezydenta Clintona, by poinformować o werdykcie.

O.J. Simpson ma na głowie zupełnie inne problemy. Wracając do domu po ogłoszeniu wyroku, myślał o lodach i ciastkach, na które miała ochotę jego córka, a on, jako kochający ojciec, nie chciał jej odmówić...

Barbara Marszall

Magister masażu ezoterycznego

Astrolog dyplomowany

Cieszymy się: także i u nas można już zostać dyplomowanym astrologiem!

Wprawdzie oficjalny tytuł brzmi dość skromnie i mało efektownie (czyżby kamuflaż?) - „magister psychologii”, ale za to końcowy certyfikat otrzymamy nie po polsku, a w „wybranym języku” - po angielsku lub po niemiecku. Jak zapewniają dyrektorzy Akademii Astrobiologii w Łodzi - Izabela Balińska i Paweł Znyk - uprawnia on „do wykonywania zawodu w wielu krajach świata, czego

nie da się uzyskać w innych szkołach”. Łódzka AA nie posiada wprawdzie rejestru w polskim Ministerstwie Edukacji Narodowej, co jej dyrekcja lojalnie przyznaje, ale za to wszyscy jej słuchacze są rejestrowani nie byle gdzie - w Moskwie i właśnie stamtąd otrzymują wspomniane certyfikaty. W istocie rzeczy Akademia Astrobiologii jest bowiem filią Międzynarodowego Rosyjsko-Amerykańskiego Centrum Szkoleniowego z siedzibą w Nowym Jorku i Moskwie.

Prawa rządzące umysłem człowieka

Organizatorzy AA przekonują przyszłych adeptów ezoteryki, że podczas nauki nie tylko poznają swoje niepowtarzalne wartości, wyzwalając się jednocześnie ze strachu, złości, poczucia winy, wątpliwości i innych negatywnych emocji, ale do tego nauczą się używać świadomej i podświadomej części umysłu dla rozwiązywania problemów i podejmowania właściwych decyzji. A wszystko to

w oparciu o „prawa rządzące umysłem człowieka”. W trakcie nauki istnieje też - oczywiście - możliwość testowania własnego biopola za pomocą fotografii kirlianowskiej, fotografowania swojej aury oraz zdobycia inicjacji Reiki - do stopnia mistrzowskiego włącznie.

Nauka w AA odbywa się na następujących trzech kierunkach: astropsychologii, odnowy psychobiologicznej i parapsychologii.

Kurs w zakresie specjalizacji astropsychologicznej obejmuje takie przedmioty, jak astrologia, astronomia, chiromancja, psychologia, psychoterapia, symbolika, „pozainwazyjne metody poznawania człowieka”, tarot, numerologia, „prawa przyrody”, NLP.

Odnowa psychologiczna to również psychologia, psychoterapia, pozainwazyjne metody, prawa przyrody, NLP. Ale nade wszystko - radiestezja i jej fizyka, chromoterapia, masaż shiatsu i masaż ezoteryczny, homeopatia, wiedza qigong, bioenergoterapia, regresing, anatomia i fizjologia.

Z kolei w zakres kierunku parapsychologii wchodzi - psychografologia, hipnoza, synchronizacja półkul mózgowych, jasnowidzenie i „praca z marzeniami sennymi”, „Czwarta Droga” wg Grudzińskiego. Ponadto - występujące także na poprzednich kierunkach - bioenergoterapia, psychologia, psychoterapia, prawa przyrody, fizyka radiestezji i metody pozainwazyjne.

W dwóch podejściach

Każdą specjalizację można ukończyć w dwóch podejściach: 2,5-letnim - bez tytułu magistra i 3-letnim - z szansą na magisterium po napisaniu pracy dyplomowej, którą trzeba nie tylko przetłumaczyć na rosyjski, ale i przesłać do Moskwy do oceny.

Pierwsi magistrowie astrologii, przepaszani - psychologii, pojawiają się na rynku pracy za niespełna 3 lata, bowiem „magisterski nabór” rozpoczęto dopiero w ub. roku.

Nauka w AA jest zorganizowana w systemie zaocznym i wieczorowym. Zajęcia dla zaocznych odbywają się raz na dwa tygodnie, w soboty i niedziele. Wieczorowi również spotykają się co dwa tygodnie, ale na nieco dłużej - na trzy dni. Ponadto każdy słuchacz - zaoczny czy wieczorowy, bez różnicy - jest zobowiązany do udziału w cosemestralnym kilkudniowym wyjazdowym obozie szkoleniowym, gdzie zapoznaje się z technikami wymagającymi bardziej systematycznej i długotrwałej pracy: synchronizacją półkul mózgowych, bio-

Podczas nauki nie tylko poznają swoje niepowtarzalne wartości, wyzwalając się jednocześnie ze strachu, złości, poczucia winy, wątpliwości i innych negatywnych emocji, ale do tego nauczą się używać świadomej i podświadomej części umysłu dla rozwiązywania problemów i podejmowania właściwych decyzji.

energoterapią, masażem ezoterycznym i innymi.

Na obozy te przyjeżdżają - oprócz krajowych wykładowców - również specjaliści zagraniczeni, głównie z krajów WNP, tacy jak astroterapeuta Piotr Palagin, twórca masażu ezoterycznego Awiessalom Podwodny czy specjalista od zakłóceń telepatycznych Anatolij Arlaszyn.

Przyjemność stania się dyplomowanym astrologiem nie jest bynajmniej tania. W roku szkolnym 1996-97 wynosi: jednorazowo 20 zł za egzamin wstępny, jednorazowo 250 zł „na poczet rejestracji” (na kursie magisterskim ponad dwa razy więcej - 600 zł), comiesięcznie - 20 zł „za szkolenie” (w filii warszawskiej - 140 zł). Do tego dochodzi odrębna opłata za szkolenia obozowe - 250 zł oraz koszt zakwaterowania i wyżywienia na owych obozach szkoleniowych, organizowanych najczęściej w znanych miejscowościach wypoczynkowych: koszt ten jest zróżnicowany od standardu ośrodka, przeciętnie wynosi ok. 30 zł dziennie. Osoby „zamiejscowe” - dla pełnego rachunku - muszą ponadto w tej kalkulacji uwzględnić raz na dwa tygodnie wydatki związane z dojazdami na zajęcia oraz koszt noclegów i posiłków.

Pączkująca akademie

A jednak chętnych nie brakuje! Zeszłoroczny nabór na kierunki z tytułem magistra objął 460 osób. Łącznie ze słuchaczami kontynuującymi naukę w okrojonym, to znaczy niemagisterskim wydaniu daje to armię bez mała 700 osób zgłębiających zawiloci wiedzy tajemnej.

Odbiciem rosnącego zainteresowania jest również swoje pączkowanie AA. Oprócz łódzkiej centrali istnieją już jej filie - w Warszawie, Białymstoku i Gdańsku. W stadium organizacji znajdują się kolejne - w Krakowie i Poznaniu... To „schodzenie w teren” ułatwia z pewnością naukę słuchaczom pochodzącym z różnych, często peryferyjnych rejonów kraju, nie mówiąc już o oszczędnościach na kosztach przejazdów.

Kim są adepci, co ich ciągnie do tego, bądź co bądź niecodziennego fachu?

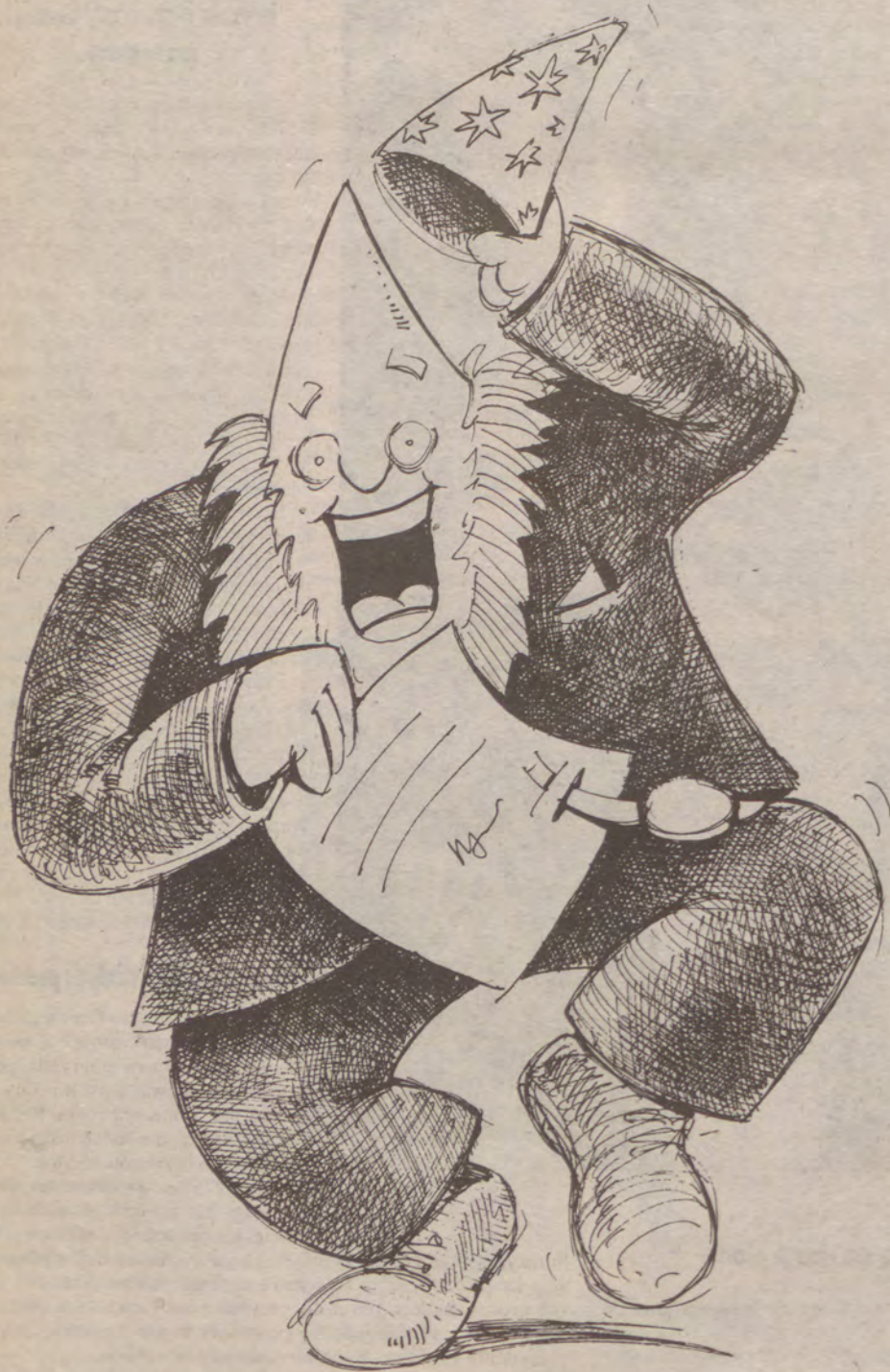
Astrolog Waldemar Galoss - jeden z wykładowców Akademii Astrobiologii - utrzymuje, że ok. 2/3 słuchaczy to kobiety; mężczyźni są tam w zdecydowanej mniejszości. Czyżby przedstawiciele płci brzydkiej przejawiali w stosunku do ezoteryki większy sceptycyzm? Za to pod względem wieku można w AA spotkać „pełny przekrój społeczeństwa”: obok świeżo upieczonych maturzystów - lu-

dzie w sile wieku, nierzadko z pobielonymi włosami.

Ci młodzi - zagubieni introwertycy - bywa, że zmagają się z kompleksami i nieśmiałością. Starsi - często po burzliwych osobistych przeżyciach, finansowych i rodzinnych - nade wszystko chcą uspokojenia, równowagi ducha. I jednym, i drugim nauka w Akademii pomaga - zdaniem Galossa - „odnaleźć siebie”, pogodzić się z sobą i ze światem.

Są też słuchacze jeszcze inni - ci, którzy od początku dobrze wiedzą, czego chcą. Liczą, że 3 lata nauki pozwolą im zdobyć dobrze płatny fach, na który jest dziś spore społeczne zapotrzebowanie. Po studiach mają zamiar otworzyć w swoich rodzinnych miejscowościach, a to salon masażu ezoterycznego, a to sklep z tajemnymi akcesoriami, to znów homeopatyczną aptekę czy punkt porad radiestezyjnych.

Szymon Burma



Rys. Bartłomiej Brosz

Scan Holiday
GO TYDZIEŃ WYLOTY Z WARSZAWY!

GRAN CANARIA
1 TYDZ. OD 399 USD
2 TYG. OD 469 USD

TENERIFYA
1 TYDZ. OD 399 USD
2 TYG. OD 478 USD

EGIPT
M. CZERWONE 325 USD
M. CZERWONE + 4 DNI 557 USD
KARI-LUXOR-ASSUAN 549 USD

TUNEZJA
1 TYDZ. OD 281 USD
2 TYG. OD 351 USD
TUNEZJA + 3 DNI SAFARI 416 USD

CYPR + IZRAEL
1 TYDZ. OD 299 USD
2 TYG. OD 369 USD
CYPR + REJS IZRAEL - EGIPT 369 USD

KRETA
1 TYDZ. OD 268 USD
2 TYG. OD 328 USD

OFERTA LAST MINUTE: Dzwon 24h na dobę tel: (61) 530 887 by poznać naszą SUPER TANIA ofertę na ostatnie miejsca w tym i przyszłym tygodniu! Zamów bezpłatny katalog pod tel: 0-61 527 591.

Gdańsk, ul. Dł. Targ 39/40
tel: (58) 311 779, 314 367
Gdynia, BP Bakost, tel: (58) 219516
Sopot, PBP, tel: (58) 514142

409/A/21

Urok antyku

Auto

Projektowanie samochodu czy motocykla rozpoczyna się od badania rynku. Wyspecjalizowane agencje sprawdzają, na jaki pojazd czekają potencjalni nabywcy, co w jego wyposażeniu najbardziej liczy się dla mężczyzn, co dla kobiet, jaki kolor podoba się szczególnie, co przede wszystkim należy eksponować w kampanii reklamowej i tak dalej. Dopiero potem ramy wyznaczone przez speców od marketingu wypełniają konstruktorzy. A i tak ich swoboda jest mocno ograniczona przez księgowych i ostrożnych szefów, porażonych świadomością, że za kląpę rynkową nowego modelu zapłacą osadą...

- Dzisiejsze samochody nie mają ducha - twierdzi pan Witold Ciązkowski. Zarabia na utrzymanie naprawiając w swoim warsztacie nowoczesne Volkswageny i Toyoty, ale żyje swoimi zbiorami. A ta kolekcja - to dziś około dziesięciu starych samochodów i co najmniej pięćdziesiąt wiekowych motocykli.

Pan Witold mówi „około” i „co najmniej”, bo przeliczenie pojazdów, które zgromadził, nie jest rzeczą prostą. Niektóre są już w pełni odrestaurowane, lśnią świeżym lakierem i chromami, jakby dopiero co opuściły fabrykę. Inne - to na razie mocno niekompletna kupka części.

Bo zwykle zaczyna się od tego, że ktoś zaprzyjaźniony, kto zna kolekcjonerską pasję Witolda Ciązkowskiego, przywozi mu starą ramę motocyklową, reflektor, czy błotnik. Z upływem czasu, nieraz po latach poszukiwań dokumentacji i podzespołów, antyczny pojazd zaczyna nabierać kształtów. Ot, choćby teraz - obok regału z częściami leży mocno skordowane

koło motocyklowe

- To od - pan Witold wymienia nazwę, która nic mi nie mówi, choć dość niezłe znam historię motoryzacji. - Proszę

spojrzeć, jaki oryginalny układ szprych...

Swego pierwszego motocykla dorobił się w wieku lat ośmiu. Pod płótnem sąsiada rdzewiał wrak przedwojennego NSU. Pojazd z 80-centymetrowym silnikiem i pedałami nie miał nawet opon. Ale dla chłopca, który niemal od niemowlęstwa rozkręcał i skręcał wszystkie mechanizmy, jakie mu wpadły w ręce, nie miało to większego znaczenia. Za ojcowskie trzysta złotych motocykl stał się jego własnością. Silnik co jakiś czas dawał się uruchomić, pozbawione ogumienia koła krzeszały skry z bruku, do hamowania służyły przydrożne kępy rabarbaru... Co ciekawe, NSU wszystko to przetrzymało i dziś wchodzi w skład kolekcji Witolda Ciązkowskiego.

Potem był równie stary Zundapp, a w wieku lat dwunastu Witek stał się posiadaczem pięknego samochodu Mercedes 170 V z lat trzydziestych.

Na Wybrzeże Witold Ciązkowski przyjechał aby uczyć się w gdańskim technikum samochodowym. Osiadł w Gdyni, tu z czasem dorobił się własnej firmy, co pozwoliło mu na kulturowanie zbierackiej pasji.

Jak wszyscy zapewne, pytam, czy ma w swojej kolekcji Harleya-Davidsona.

Nie jest to ulubiona marka pana Ciązkowskiego.

- Wie pan, po co go kupilem? - mówi. - Żeby móc odpowiadać: - O, ten rupieć, który stoi koło Sokoła...

Dwa Sokoły

z wózkami bocznymi, sześćsetka i tysiączka, to ozdoba zbiorów. Pan Witold zachwycił się ich dojrzałą konstrukcją i solidnością wykonania. Oprócz nich ma niemal wszystkie polskie motocykle z lat międzywojennych - MOJ-a, Perkuna, Tornedo, pierwszą SHL-kę...

- Brakuje mi do kompletu tylko produkowanej w Legionowie pod Warszawą Podkowy oraz Niemna. W fazie rekonstrukcji jest jeden z nielicznych prototypów Sokoła-125. Plany produkcji w Państwowych Zakładach Inżynieryjnych na warszawskiej Pradze zniweczyła wojna.

A SHL-ka jest eksponatem szczególnie cennym dla Gdynianina, bo na jej błotniku, obok numeru rejestracyjnego widnieje nieduża tabliczka: „Firma Patalon, sklep z olejami, Gdynia, Świętojańska róg Lipowej”. Motoryzację powojenną, na zasadzie wyjątku, reprezentują dwa Junaki 350, model M-07 i M-10.

Nie dziwi obecność w zbiorach motocykli niemieckich,

których na Wybrzeżu pozostało po wojnie sporo. Ale jak trafił tu angielski James z dwusuwowym silnikiem Villiersa? Albo Ogar, co do którego nie ma pewności, czy wyprodukowano go w Austrii, czy na licencji, w Czechosłowacji?

Jeden z przyjaciół Witolda Ciązkowskiego znalazł gdzieś (w bagnie, jak mówi) szczątki archaicznego dwukołowca. Po długich i żmudnych dociekaniaх wyjaśniło się, że chodzi o angielski motocykl

Raleigh z roku 1918!

Wehikuł ma dwa cylindry w układzie widlastym i 1000 cm sześć. pojemności. Był na owe czasy nowoczesny, bo miał łańcuch napędowy, a nie skórzany pasek. Ale za to do hamowania służył... drewniany klocek dociskany do dodatkowej obręczy połączonej z tylnym kołem. A rolę reflektora pełniła lampa karbidowa.

Wiele części trzeba było zrobić według sprowadzonej z zagranicy dokumentacji, ale na maj pan Witold zapowiada premierowy pokaz swego najstarszego motocykla, który do Polski trafił zapewne tuż po I wojnie światowej jako sprzęt wojskowy. Może - z armią Hallera?

Wśród samochodów dominują lata trzydzieste. Jest piękny Auto Union DKW F-7 z roku 1936 z dwuosobowym, odkrytym nadwoziem. Jest 62-letni Adler - kabriolet i maleńki Fiat 500 Topolino, prekursor Cinquecento. Najstarszy jest



Witold Ciązkowski prezentuje BMW 750 z dwucylindrowym, dolnozaworowym silnikiem typu boxer.

Fot. Robert Kwiatek

Ford Eiffel z roku 1934,

do najmłodszych należą Mercedesy „Puchatki” 180 i 190 z nadwoziem określanym jako „ponton” z lat 1953 i 1956. Ma pan Witold także dwa Volkswageny Karmann-Ghia roczniki 1955 i 1959. Kto tamtych czasów nie pamięta, nie jest w stanie sobie wyobrazić, jakie wrażenie robiły wówczas te piękne auta na polskiej ulicy, wśród przedwojennych Opli i dekawek oraz przyciężkich Warszaw w kolorze szaroburym...

Kolekcja pana Witolda jest w pewnym sensie pojęciem umownym. Część pojazdów przechowywana jest w magazynie, dwa motocykle oglądać można w sklepie motoryzacyjnym przy Abrahama w Gdańsku, BMW stoi w warsztacie pana Ciązkowskiego na gdyńskiej Chyloni.

- Chciałbym móc udostępnić moje zbiory zwiedzającym - mówi kolekcjoner. - Widziałem, z jakim zainteresowaniem i młodzie, i starsi oglądali kilka motocykli i samochodów, które wystawiono na stoisku Fundacji „Bezpieczni w Ruchu Drogowym” podczas tegorocznego Moto Expo.

A więc muzeum?

Łatwiej pomyśleć, trudniej wykonać. Pan Witold już od kilkunastu lat próbuje zainteresować swoją kolekcją gdyńskie władze. Chodzi o lokal, gdzie można by zorganizować ekspozycję. O znalezienie takiej formuły prawnej całego przedsięwzięcia, aby Witold Ciązkowski nie musiał wyzybywać się swoich

ukochanych pojazdów, a zarażem aby wpływy z biletów móc przeznaczać na rekonstrukcję antycznych wehikułów.

Czy Gdynia, przez którą od wiosny do jesieni przewalają się tysiące wycieczek krajowych i zagranicznych cierpi na nadmiar atrakcji? Czy właśnie miasto zbudowane od podstaw w II Rzeczypospolitej nie byłoby dobrym miejscem na wyeksponowanie unikatowego zbioru polskich motocykli z tamtej epoki? Pytania z gatunku retorycznych.

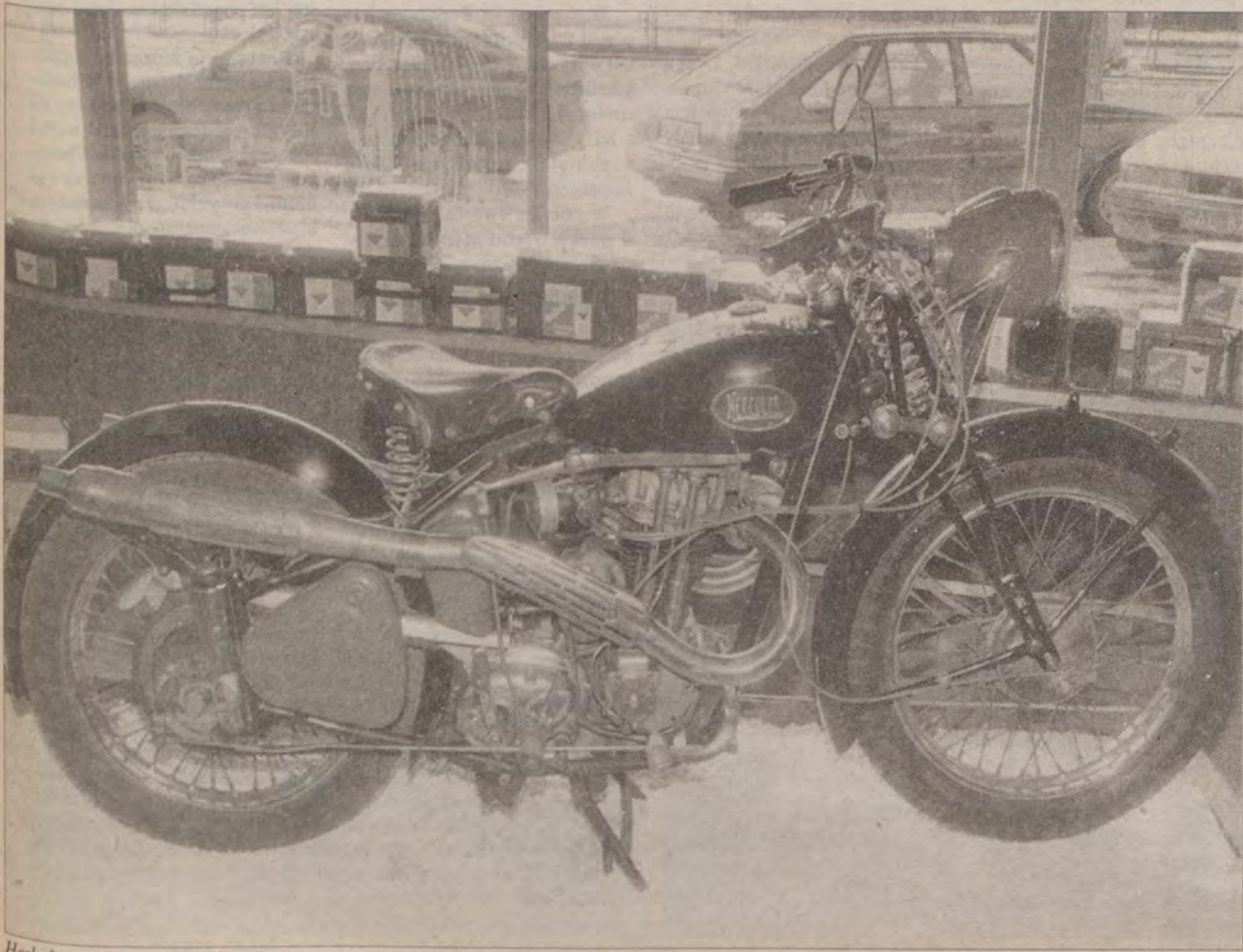
Na razie pan Ciązkowski źle śpi po nocach, bo ciągle przypomina sobie wrzesień roku 1989, gdy skradziono mu ponad dziesięć pięknie odnowionych motocykli. Sam wytropił złodzieja, który zresztą był tak bezczelny, że... swój łup oferował za pośrednictwem ogłoszeń w rubryce „Motoryzacyjne”. Do dziś sprawa nie znalazła epilogu w sądzie.

Gdy tym razem nie udadzą się pertraktacje w sprawie muzealnego lokalu w gdyńskim magistracie, pan Witold będzie próbował jeszcze raz. Bo jest przekonany że ma rację.

- Kiedyś pewien klient, pan urodzony jeszcze przed wojną, zobaczył w warsztacie mojego Sokoła. Nie chciał wierzyć, że Polska produkowała tak znakomite motocykle. W parę dni później przyjechał znów, razem ze swym przyjacielem - równieżnikiem. Obaj długo oglądali Sokoła i widziałem, że są szczerze wzruszeni i dumni.

- Dlatego będę walczył o to muzeum.

Marek Ponikowski



Herkules - jeden spośród pięćdziesięciu antycznych jednośladow kolekcjonera.

Fot. Robert Kwiatek

Podróże

Ratyzbona

Stare miasto nad Dunajem

Piękna stara Ratyzbona - dla Niemców Regensburg - nie leżała na kursie alianckich bombowców. Może dlatego, że w tej rolniczej okolicy wschodniej Bawarii nie było wielkich zakładów zbrojeniowych, jak choćby w nieodległym Augsburgu, który drogo zapłacił za fabryki Messerschmitta i MAN-a. Niewielkie prowincjonalne miasto nie było też widocznie celem tak spektakularnym jak Kolonia, Norymberga czy Drezno. Dzięki temu możemy dziś podziwiać najlepiej zachowane i zarazem jedno z najpiękniejszych średnio-wiecznych miast Niemiec.

Przed dwoma tysiącami lat istniała tu celtycka osada

Radasbona

179 lat po narodzeniu Chrystusa na rozkaz Marka Aureliusza Rzymianie w jej pobliżu założyli warowny obóz Castra Regina. Od niej to pochodzi niemiecki Regensburg, tak jak od Radasbony - polska nazwa miasta, które szybko awansowało na stolicę rzymskiej prowincji Recji. Później, od VI do XIII wieku Ratyzbona była stolicą Bawarii, by następnie oddać prymat znacznie młodszemu Monachium.

Położenie nad Dunajem, na skrzyżowaniu rzecznego szlaku z kupieckimi drogami wiodącymi z Italii na północ, zapewniało rozkwit gospodarczy i znaczenie polityczne. W IX wieku Ratyzbona stała się rezydencją króla Franków Ludwika Niemieckiego. Cztery wieki później było to wolne miasto Rzeszy Niemieckiej i siedziba jej sejmu - aż do 1806 roku.

„Dzięki wspaniałym i wielkim budowlom, Ratyzbona prześciga wszystkie miasta niemieckie” - zauważył w 1517 roku cesarz Maksymilian I. To, co dotrwało do naszych czasów na pewno upoważnia do deklaracji, że w istocie

Ratyzbona da się lubić

Ze wzgórz na północnym, lewym brzegu Dunaju widać ma-

lowniczą panoramę miasta. Nad czerwonymi dachami górują romańskie, gotyckie i barokowe wieże licznych kościołów. Wśród nich - dwie ponadstumetrowe strzeliste wieże katedry. Nowoczesne budowle, osiedla mieszkalne, biurowce, dzielnicę uniwersytecką - wszystko to „wyrzucono” na przedmieścia, daleko od historycznego centrum. Dzięki temu można mieć pewność, że wędrując wąskimi uliczkami nie natkniemy się na coś banalnego, wielkiego, z szarego betonu.

Miasto nie jest duże, ma niewiele ponad sto tysięcy mieszkańców. Życie płynie tu spokojnie, bez wielkomięskiego blachtru, ale i bez hałasu, pośpiechu, nerwowości. Przybysza wabią przytulne piwiarnie i winiarnie. Na pełną życia i pogody atmosferę miasta niewątpliwie wpływ wywiera uniwersytet i jego studenci. Założony niedawno, bo w 1962 roku, rozrósł się w ostatnich latach i zyskał sobie opinię jednej z najlepszych uczelni Niemiec. Są tu także inne szkoły i uczelnie, a młodzi ludzie z indeksami w kieszeniach stanowią znaczny odsetek mieszkańców współczesnej Ratyzbony.

Zwiedzanie

najlepiej zacząć od XII-wiecznego Kamiennego Mostu (Steinerne Brücke) łączącego wy-

spy na Dunaju i dalej północne, peryferyjne dzielnice miasta ze starym centrum położonym w całości na południowym, prawym brzegu rzeki. Jest to najstarszy most w Niemczech. Po trwającej 11 lat budowie stał się jedyną stałą przeprawą na całej długości Dunaju i zarazem źródłem prosperity miasta, które przyciągnęło do przeprawy szlaki kupieckie.

Z mostu roztacza się piękna panorama miasta. Tuż obok jest przystań, z której odpływają statki wycieczkowe docierające aż do Pasawy i granicy austriackiej. Można zajrzeć do *Historische Wurstküche*, która przed wiekami była jadłodajnią budowniczych szacownego mostu. Od tego czasu jest stale prowadzona przez tę samą rodzinę. Podaje się tu wyjątkowo miejscowy przysmak - kielbaski ratyzbońskie z musztardą i kapustą.

Kierując się w prawo, możemy dojść wąskimi uliczkami do gotyckiego Starego Ratusza (*Alte Rathaus*), w którym mieści się centrum informacji turystycznej. Warto zwiedzić historyczne pomieszczenia ratusza - w tym salę, w której do 1806 roku zbierał się parlament Rzeszy.

Katedra

św. Piotra jest najwspanialszą gotycką budowlą w Bawarii. Zaczęto ją wznosić w 1250 roku. Stara legenda mówi o zakładzie między budowniczymi - katedry i Kamiennego Mostu o to, kto pierwszy skończy swą budowlę. Ten od mostu dogadał się z diabłem i wygrał doprowadzając konkurenta do samobójstwa. Czar miał dostać zapłatę: duszę pierwszego przechodzącego przez most. Sprytny budowniczy z nim także wygrał wysyłając na most... osła.

Katedrę istotnie budowano długo, bo trzysta lat, nie przez niefortunny zakład wszakże lecz z powodu reformacji. Luteranie rządzący przejściowo miastem nie widzieli powodu, by wspierać budowę katolickiej świątyni. Długa przerwa w budowie spowodowała wyposażenie mrocznego wnętrza katedry w obowiązujący wtedy barokowy wystrój. Takie są tu ołtarze, świeczniki, obrazy. Wyrzucano wiele dzieł gotyckich, w tym

witraże. Na szczęście - nie wszystkie. Warto zwiedzić XI-wieczną kaplicę św. Stefana i katedralne muzeum.

W starej części Ratyzbony jest ponad 20 kościołów, wśród nich kilka prawdziwych pereł. Tuż przy katedrze - siedem, a wśród nich romański kościół św. Ulryka z XIII wieku i dla kontrastu - wspaniała rokokowa *Alte Kapelle*.

W pobliżu dworca głównego, w parku wśród starych drzew wznosi się prawdziwy

zamek księcia pana

Jest to siedziba jednego z najważniejszych rodów niemieckich - książąt von Thurn und Taxis,

w ostatnich latach nader często goszczących na stronach bulwarowej prasy zajmującej się sensacjami z wyższych sfer. Ich to własnością jest ponoć większa część miasta i jego okolice.

Rezydencję można zwiedzać. Niegdyś był tu klasztor św. Emmerama promieniujący wiedzą na sporą część Europy. Dziś warto zobaczyć zamkowy kościół barokowy pod tym samym wezwaniem, gotyckie zabudowania klasztorne, muzeum powozów, zadumać się nad zatartymi napisami na nagrobkach i epitafiach, nad przemijaniem - w mieście liczącym bądź co bądź dwa tysiące lat...

Tekst i zdjęcia

Andrzej Gołębiowski



Nad miastem górują strzeliste wieże katedry św. Piotra.



Steinerne Brücke - najstarszy most w Niemczech.

Informacje praktyczne

Jak dojechać. Najtaniej - autobusem. Niektóre rejsowe autokary do Monachium (około 250 zł w obie strony) jadą przez Ratyzbonę (Regensburg), pozostałe - przez Norymbergę, gdzie trzeba przesiąść się na pociąg. W pobliżu miasta krzyżują się dwie autostrady: A3 Norymberga - Pasawa (Passau) i A93 z Monachium w kierunku Hof i dalej - do Drezna.

Gdzie spać. Punkt informacji turystycznej w Starym Ratuszu pomaga w znalezieniu noclegu: *Fremdenverkehrsamt Regensburg, Altes Rathaus, Regensburg*, tel. 00-49-941/5072142, fax. 00-49-941/5072022. W mieście można znaleźć hotele stosunkowo tanie - od ok. 50 DEM w górę. Na peryferiach znajduje się tani hotel francuskiej sieci *Etap Hotel, Industriegebiet Burgweinting, Jankerstr. 1, D-93055 Regensburg*, tel. 00-49-941/789541. Dwuosobowy pokój kosztuje w nim 65 DEM, a w dni weekendowe - 55 DEM. Schronisko młodzieżowe jest na wyspie Wöhrd na Dunaju kilka minut marszem od *Steinerne Brücke*, przy *Wöhrdstrasse 60*. Kemping czynny od połowy marca do połowy listopada znajduje się przy *Weinweg 40*.

Polanki raz jeszcze



Dwór IV przy ul. Polanki

Fot. Jerzy Samp

W dotychczasowych wędrowniach po Oliwie kilkakrotnie już odwiedzaliśmy rejon ulicy Polanki. Sprawia to obecność zabytkowych dworów, które w lepszym lub gorszym stanie przetrwały do naszych czasów.

Nie było nas jedynie w miejscu, gdzie przed II wojną światową znajdowała się gospoda „Pod Białym Jagnięciem” (Polanki 57/58), a wcześniej zaś stał prawdopodobnie Dwór VIII i nie zwiedziliśmy jeszcze Dworu IV. Pora zatem nadrobić te zaległości. Zaznaczmy od razu, iż Dwór IV (ul. Polanki 119-121), należy do obiektów wchodzących obecnie w skład Specjalistycznego Zespołu Opieki Zdrowotnej nad Matką i Dzieckiem. Nie jest to zatem obiekt powszechnie dostępny. Nie liczymy też na to, że zwiedzać będziemy wnętrze zabytkowej budowli. Ręczę jednak, że warto obejrzeć dwór oraz jego otoczenie choćby z pewnej odległości. Warto też zapoznać się z dziejami tego miejsca.

Według Franciszka Mamuszki najstarsze wzmianki na ten temat pochodzą z roku 1626, kiedy to gospodarzem posesji, na terenie której wzniesiono pałac, został rajca Starego Miasta Jan Morgenroth. Jednakże zdaniem najbardziej znanego historyka dworów dawnej wsi Polanki - dr. Marcina Gawlickiego, zwią-

zany z tą postacią przywilej wystawiony został przez opata oliwskiego Adama Trebnica dopiero w roku 1632.

U schyłku wieku XVII właścicielem majątku został sekretarz króla szwedzkiego Jerzy von Wachschräger, do którego należał wówczas również sąsiedni III Dwór na Polankach. Po śmierci jego syna Jerzego (juniora), wdowa po zmarłym sprzedała Dwór IV rajcy gdańskiemu Janowi Losehartowi. Transakcja przeprowadzona została w Sztokholmie w roku 1737. Cztery lata później zaczął tu gospodarzyć jeden z najzamożniejszych gdańskich kupców Karol Grodecki. Rozbudowany pałac z mansardowym wówczas dachem, zmienił kształty. Wprowadzone zmiany, dotyczyły zarówno modnej, rokokowej konwencji, wedle której urządzono wówczas zarówno dwór z drewnianymi lukarniami oraz ozdobnym frontonem, jak i park z aleją drzew, altanami i punktem widokowym. Wszystko to miało na celu nadanie całości większego jeszcze splendoru. Ekskluzywna posiadłość była miejscem,

gdzie urządzano ucztę i bale, gdzie - szczególnie latem - spotykali się sławni ludzie. Pałacowe wnętrza zdobiły sztukaterie, wytworne stylowe meble, drogocenne dywany i stare obrazy dobrych mistrzów. To właśnie z tej budowli pochodzi wspinały piec kaflowy z datą 1742 oraz herbem Grodecków, będący dziś ozdobą Dworu Królewskiej Doliny we Wrzeszczu, w którym niedawno gościliśmy.

Na dwa lata przed zajęciem Gdańska przez wojska napoleońskie Dwór IV przeszedł w ręce tutejszego kupca Fryderyka von Kempna, który nadał zabytkowej budowli cechy klasycystyczne. Podczas ostatniej wojny mieściła się tu szkoła dla dziewcząt, a w roku 1945 urządzono szpital dziecięcy, później zaś Sanatorium Przeciwgruźlicze. Przez jakiś czas górna kondygnacja niefortunnie przebudowanego pałacu służyła pielęgniarkom jako hotel. Dziś jest to już tylko rupeciarnia, w części zaś parterowej magazyn żywności oraz kuchnia. Mówi się wszakże o bliskim już remoncie całości i planach przywrócenia dworowi dawnego blasku. Oby idea ta ziszczyła się jak najrychlej.

Jerzy Samp

Rusz się!

Brzegiem Cedronu do Wyspowa



Na trasie podziwiać można iście bajkowe widoki.

Fot. Stanisław Strojny

Trójmiejski Park Krajobrazowy (TPK) sięga od ul. Słowackiego w Gdańsku (kraniec południowy) aż do linii kolejowej Reda-Wejherowo (kraniec północny). Na jego obrzeżach leżą także Sopot, Gdynia i Rumia. Razem sześć. Dlaczego więc trójmiejski, a nie np. sześciogrodzki? Tym bardziej, że największe obszary leżą poza Trójmiastem.

Właśnie tą północną częścią parku powędrujemy z Wejherowa do Redy czerwonym szlakiem i bez znaków przez ok. 16 km. Startujemy sprzed dworca kolejowego w Wejherowie. Początkowo wspólnie ze szlakiem czarnym ul. Dworcową. Ale niebawem szlaki rozstają się, a my ze znakami czerwonymi docieramy do Cedrońskiego Młyna i prawym brzegiem rzeczki Cedron będziemy przez blisko 8 km maszerować do Wyspowa. Jeszcze przez chwilę spotkamy znaki czarne prowadzące w prawo do słynnej Kalwarii Wejherowskiej. Być może innym razem zwiedzimy i to miejsce.

Droga do Wyspowa w porze wiosennej jest kiczowato pięknym odcinkiem trasy. Kwitnące przy ścieżce przeróżne kwiaty, szemrzący obok potok i zielone drzewa wystarczą aby się rozrzuścić. Gdy dołączymy

„fonię” w postaci przeróżnych dźwięków wydawanych przez ptaki i owady to nie tylko usiąść i przeżywać. Dobrze, że to nie ta pora bo wycieczka by się nam nadmiernie przedłużyła.

Nareszcie Wyspowa - jezioro i wieś o tej samej nazwie. Jezioro w sezonie letnim oblegane jest przez spragnionych kąpiel i plażowania mieszkańców Wejherowa, Rumi, Redy i okolicznych wiosek.

Stajemy nad brzegiem jeziora na popas mając do dyspozycji wiele dogodnych miejsc biwakowych. Możemy się swobodnie rozlokować na małe co nieco.

W miejscu gdzie szlak osiągnął jezioro na północ odbiega droga do wsi Gniewowo i tą właśnie drogą - już bez znaków będziemy wędrować dalej. Posileni i wypoczęci ruszamy do Gniewowa kierując się kompa-

sem lub „turystycznym nosem”. Czerwony szlak natomiast poprowadzi zachodnim brzegiem jeziora i dalej w głąb parkowego lasu aż do Sopotu. My tymczasem przed Gniewowem wchodzimy na bitą drogę i opuszczamy las. We wsi skręcamy w lewo i po 200 m w prawo na szosę prowadzącą prosto do Redy. Kilometr za wsią ponownie zagłębiamy się w las i po dwóch kilometrach jeszcze raz spotykamy szlak czarny. Przecina on „naszą” szosę prowadzącą w lewo do Wejherowa i w prawo do Gdyni.

Możemy pójść w lewo i po 2 km dojść w pobliże stacji kolejowej Reda-Pieleszewo. Cały czas leśną drogą. Jeżeli zdecydujemy się na Redę, to idziemy prosto szosą około kilometra i dalej w bezleśnym terenie ponad kilometr aż do torów kolejowych. Po ich przekroczeniu ścieżką w prawo do widocznej już stacji kolejowej.

Na dworcu kończymy nasz przedwiosenny rekonesans plenernowy. Do zobaczenia za tydzień.

Stanisław Strojny

Jak dojechać

Najdogodniej kolejką elektryczną.

Wędruj razem z nami

• W niedzielę na wycieczkę trasą: Sławki - Babi Dół (14 km) zaprasza Klub Turystów Pieszych „Bąbelki”. Zbiórka uczestników na dworcu PKP Gdynia Główna o godz. 9.45 (przy kiosku w holu dworca), odjazd do Sławek (na przejazd pociągami można wykupić zniżkowe bilety turystyczne) o godz. 10. KTP „Bąbelki” zaprasza amatorów weekendowego wędrowania na swoje spotkania klubowe, które odbywają się w siedzibie gdańskiego oddziału PTTK w Gdańsku, przy ul. Długiej 45, we wtorki o godz. 18.

• W niedzielę na wycieczkę krajoznawczą na trasie: Wejherowo - Orle - Puszcza Darżłubska - Wejherowo (13

km), zaprasza Klub Krajoznawczy „Wrzos”. Zbiórka uczestników o godz. 9 w Klubie Turystów w Gdyni, ul. 3 Maja 27. Odjazd z Gdyni Główny do Wejherowa (na przejazd pociągami można wykupić zniżkowe bilety turystyczne) o godz. 9.23. Za tydzień w piątek (28 lutego) w Klubie Turystów w Gdyni, ul. 3 Maja 27, o godz. 17 odbędzie się spotkanie programowe Klubu Krajoznawczego „Wrzos”, na któ-

re organizatorzy zapraszają członków klubu i jego sympatyków.

• W niedzielę na wycieczkę zaprasza Klub Turystów Pieszych „Wanoga”. Szczegółowe informacje można uzyskać w Oddziale Morskim PTTK w Gdyni pod nr. tel. 21-77-51.

• Podczas najbliższego weekendu w ramach IV Zimowego Rajdu na Raty po woj. elbląskim odbędą się dwie wycieczki. W sobotę na wycieczkę trasą:

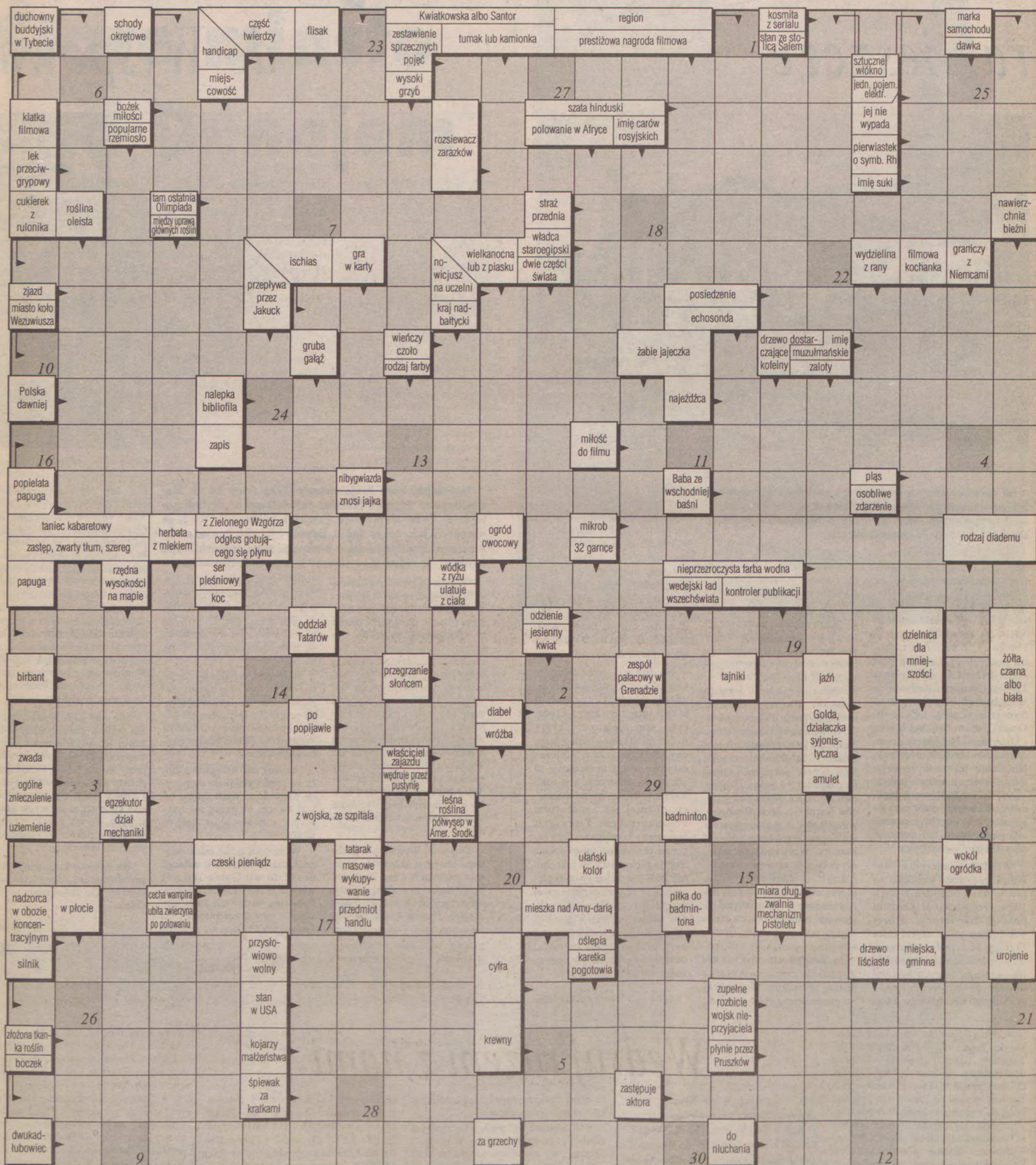
Kwidzyn PKP - Podzamcze - Tychnowy - szlak czerwony - Mały Baldram - Piekarniak - Kwidzyn PKP (15 km) zaprasza SKKT - PTTK „Trapersi” z I LO w Kwidzynie. Zbiórka uczestników na stacji PKP w Kwidzynie o godz. 10. W niedzielę na wycieczkę trasą: Elbląg (pętla tramwajowa linii nr 2 - ul. Marymoncka) - Bażantarnia - restauracja „Myśliwska” - szlak czerwony - mostek elewów - „parasol” - szlak zielony - Stagniewo skrzyżo-

wanie (przystanek MPK) (9 km) zaprasza Klub Turystów Pieszych „Delta” z Elbląga. Zbiórka uczestników przy pętli tramwajowej linii nr 2 na ul. Marymonckiej o godz. 10.

• Zima poproszyła trochę śniegiem, jeśli spadnie go więcej (co najmniej na grubość 10 cm) w sobotę na narciarski spacer trasą: Bożepole Wielkie - Bożepole Małe - Paraszyno - Luzino, zaprasza Komisja Turystyki Narciarskiej przy Oddziale Morskim PTTK w Gdyni. Zbiórka uczestników na dworcu PKP Gdynia Główna, odjazd do Bożegopola o godz. 7.53 (na przejazd pociągami można wykupić zniżkowe bilety turystyczne). (mir)

Pomysł!

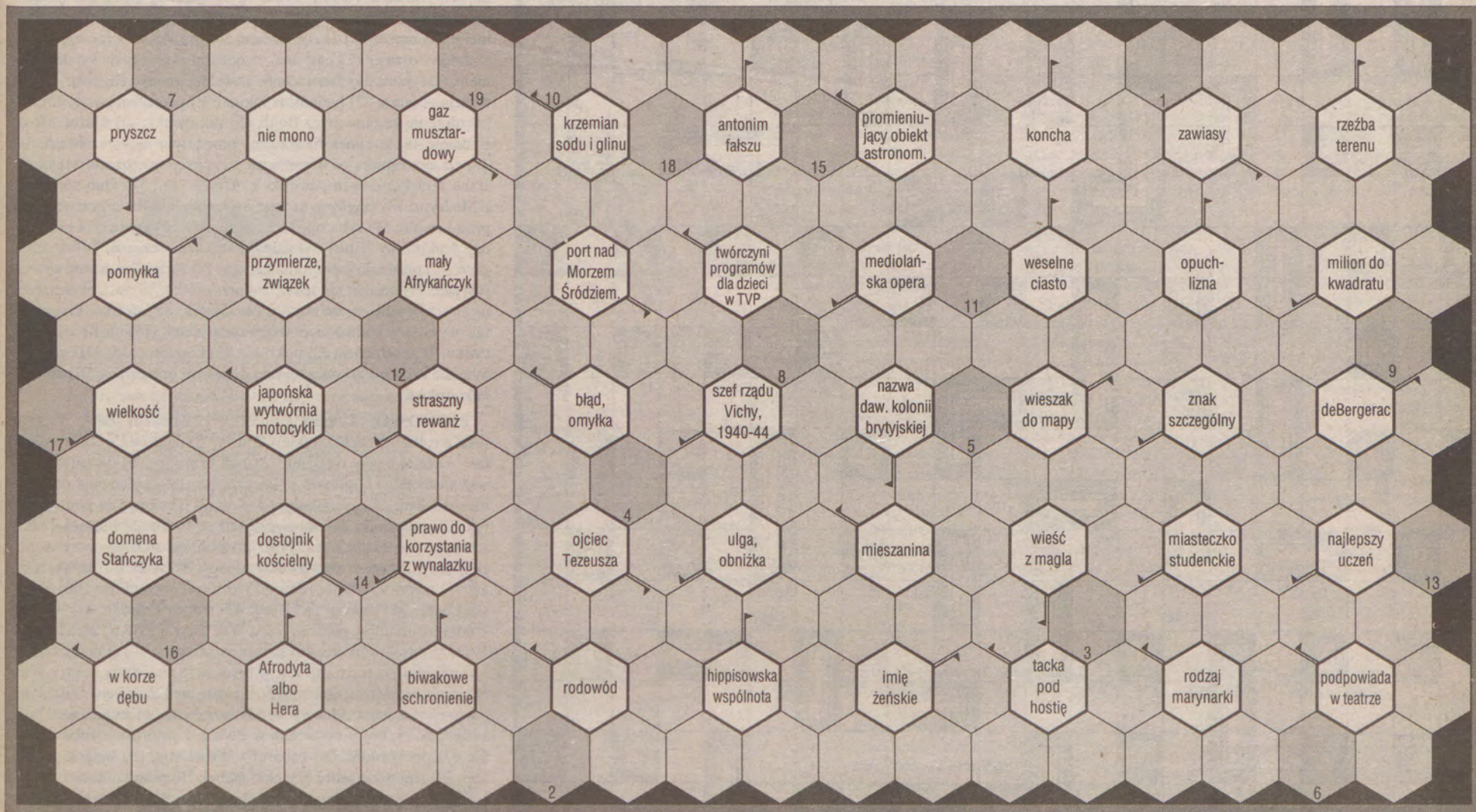
KRZYŻÓWKA ZA 250



Czytelnicy, którzy uporają się z tą wielką krzyżówką i przysłą do 10 marca 1997 r. hasło, utworzone z liter na zaznaczonych polach, mają szansę wylosować nagrodę pieniężną w wysokości 250 zł

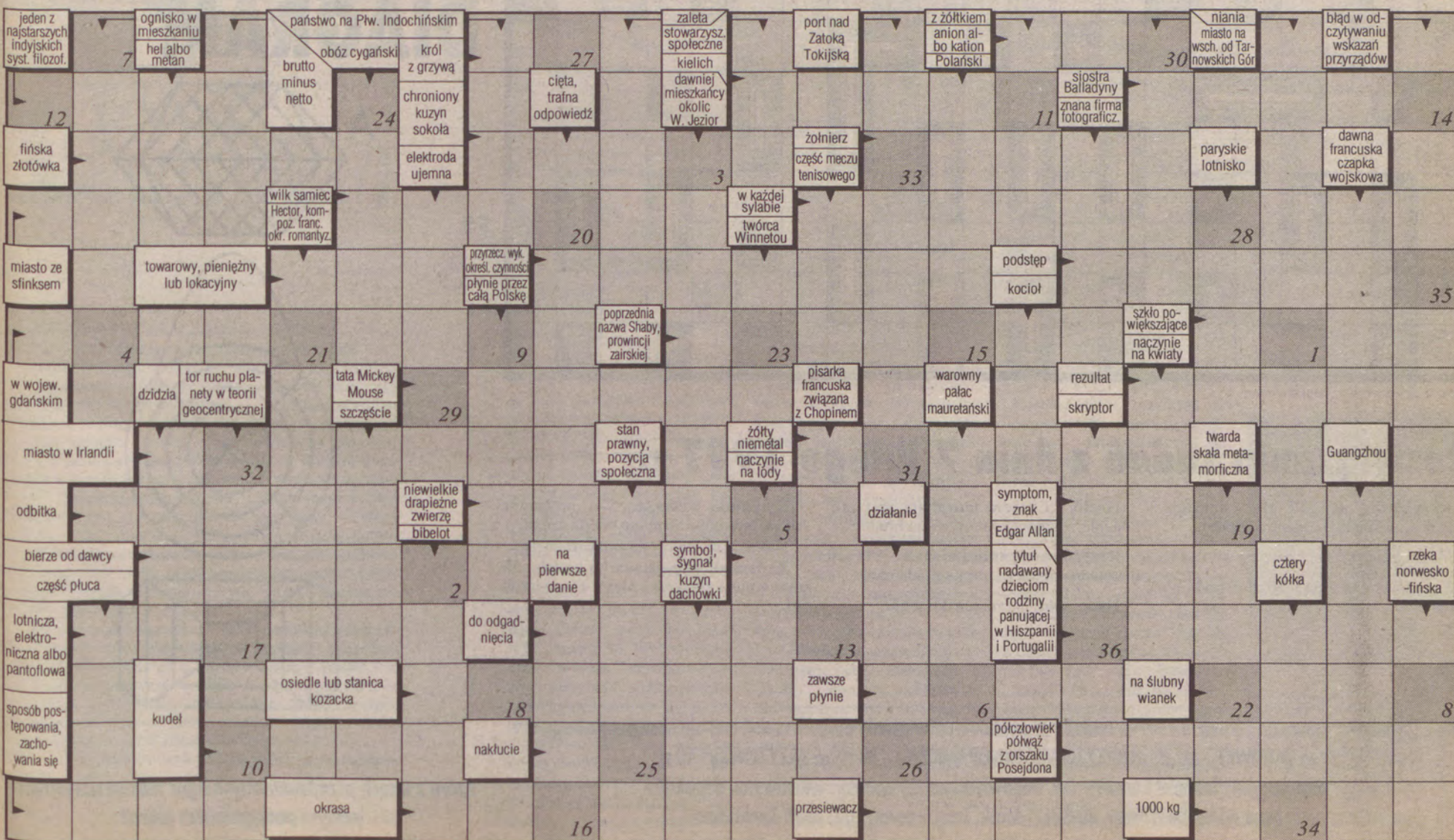
WIROWKA

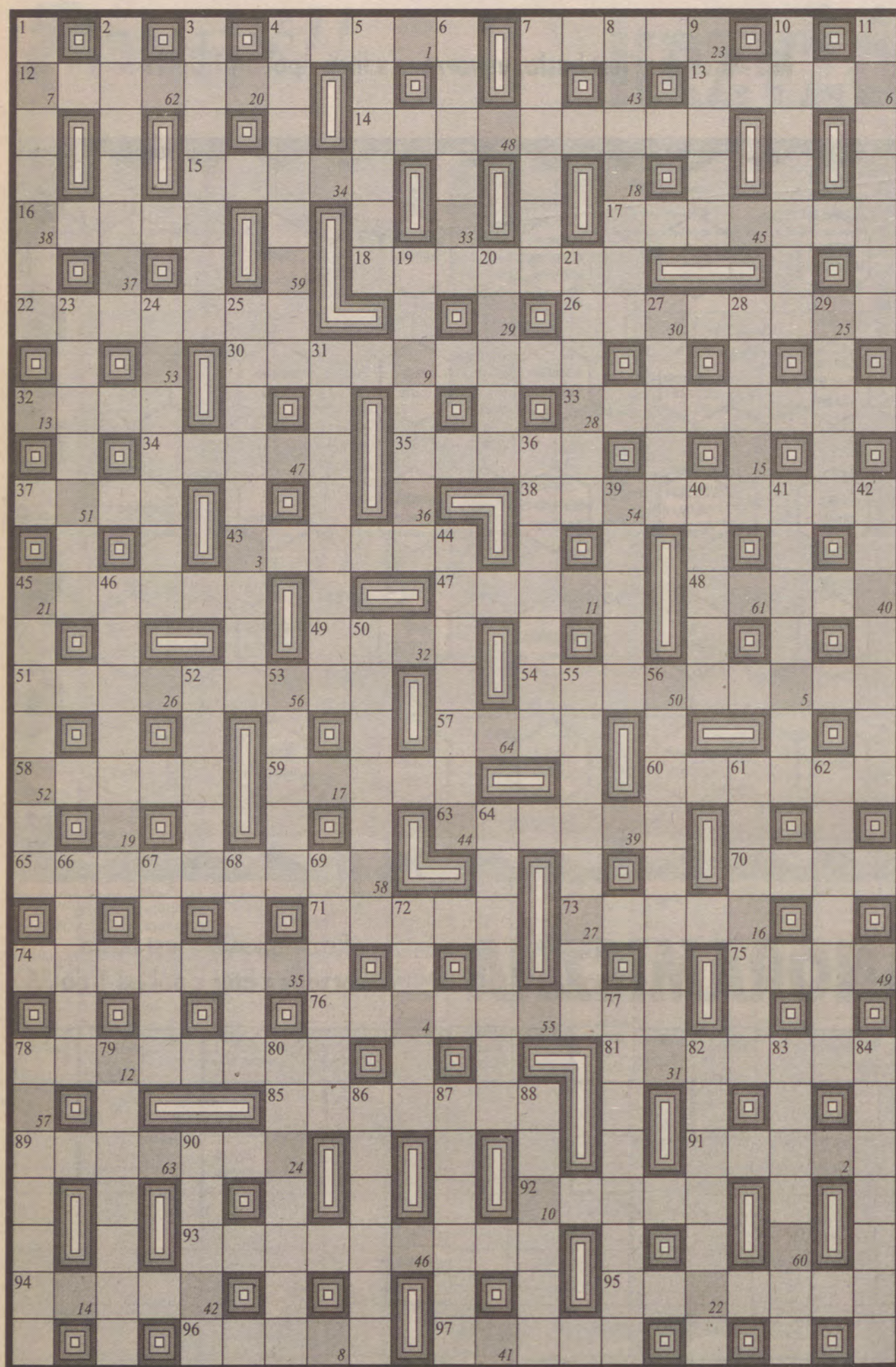
Rozwiązaniem jest hasło, utworzone z liter z pól od 1 do 19



KRZYŻÓWKA PANORAMICZNA

Rozwiązaniem jest hasło, utworzone z liter z pól od 1 do 36





KRZYŻÓWKA

POZIOMO; 4) coś z marynat; 7) zespół działaczy; 12) prawy dopływ Narwi; 13) autor „Ulissesa”; 14) bar kawowy; 15) harcerz zza oceanu; 16) strug; 17) stan środk.-wsch. części USA; 18) spaja metalowe części; 22) akt urodzenia; 26) sprowadza z zagranicy; 30) szalbierz, oszust; 32) nawiana, jasnożółta skała osadowa; 33) element skrzypiec; 34) zwierchnik arabskiej gminy religijnej; 35) inwencja twórcza; 37) indiańskie lokum; 38) przeciwnatarcie; 43) doświadczenie zesłane przez Boga; 45) starowinka; 47) filozof z Rotterdamu; 48) kierunek filozoficzny powstały w okresie oświecenia; 49) czasem zapiera go w piersiach; 51) zielen miedziana; 54) starożytne fenickie miasto-państwo w Afryce Płn.; 57) klub sportowy z Madrytu; 58) ciągliwa, kowalna substancja dobrze przewodząca prąd i ciepło; 59) ryba o smacznym mięsie; 60) przeciwna prawicy; 63) drukowany napis; 65) zlepek, skupienie czegoś; 70) dryblas, gach; 71) płaski do puszczania kaczek; 73) Troja; 74) dawny alfabet rosyjski; 75) uosobienie tęczy; 76) przezwisko; 78) miasto zniszczone przez bombę atomową; 81) obrabiarka; 85) stoisko, kram; 89) fale wywołane podwodnym trzęsieniem ziemi, głównie na zach. Pacyfiku; 91) pochlebca; 92) pokrywa; 93) kosztowności; 94) ozór; 95) imię dla krowy; 96) włączenie się do jakiejś organizacji; 97) amator eukaliptusa;

PIONOWO; 1) imię Lincolna; 2) bezzeństwo; 3) król rock'n'rolla; 4) część artykułu ustawy; 5) najeżona roślina; 6) patos; 7) telewizyjny tygodnik; 8) kult brzydoty; 9) do garażu; 10) wąz strażacki; 11) półkoń półmęczczyzna; 19) objaśnienia do fragmentu tekstu; 20) z sumiastym wąsem; 21) do kawy na podwieczorek; 23) pustelnik; 24) skomponował „Cyrulika Sewilskiego”; 25) ścienny na bieżący rok; 27) najpospolitszy siarcezek w skorupie ziemskiej; 28) część meczu bokserskiego; 29) zespół, drużyna, załoga; 31) wyprawa; 36) oprawa; 39) kolejny, porządkowy; 40) indyjski książę; 41) miasto nad Kurą; 42) stolica Ugandy; 44) miejsce konferencji szefów rządów USA, Wlk. Bryt. i ZSRR; 28.XI-1.XII. 1943; 45) wielożeństwo; 46) karton rysunkowy; 50) trójporozumienie; 52) wzięcie trzynastu lew w brydżu; 53) handluje kradzionym; 55) przeciwieństwo egoizmu; 56) miasto nad Zalewem Wiślanym; 61) postać z baśni ludowych; 62) spryciarz; 64) kraina wszelkiej szczęśliwości; 66) powszechna w Polsce wirusowa choroba zakaźna; 67) potworność; 68) kabaret w Wrocławiu; 69) wcięcie w tekście; 72) japońskie auto; 77) lekki mebel; 78) pismo nutowe; 79) cukier gronowy; 80) naturalny satelita Ziemi; 82) 1000 wat; 83) rozsiew; 84) składnica broni; 86) hałas, wrzawa; 87) w średniowieczu: członek gwarectwa; 88) atakująca armia wroga; 90) perfumy z wydzieliny kaszalota.

Rozwiązaniem jest aforyzm,
utworzony z liter z pól od 1 do 64

DIAGRAM



Rozwiązania zadań z dnia 7 lutego 1997 r.

Krzyżówka za 250 zł - nagrodę otrzymuje Elżbieta Ziemann z Sopotu

Hasło: „Kto życia nie ceni, nie wart go”.

Krzyżówka zwykła - 50 zł otrzymuje Danuta Tomaszewska z Rumi Janowa.

Hasło: „Czasem moralista jest jak kominiarz - czyści kominy, a sam brudny”.

Krzyżówka panoramiczna - 50 zł otrzymuje Janina Żarnecka z Gdańska.

Hasło: „Nos nie zna smaku soli”.

Krzyżówka wirówka - 50 zł otrzymuje Alicja Otrombke Strzelino poczta Łebcz.

Hasło: „I nic przeżywa swoje dramaty”.

Za łamigłówkę - suszarkę do włosów otrzymuje Krystyna Kołaś z Starogardu Gd.

Na Czytelników, którzy do 10 marca 1997 r. nadesłają prawidłowe rozwiązania naszych zadań czekają następujące nagrody:

za WIRÓWKĘ - 50 zł; za KRZYŻÓWKĘ PANORAMICZNĄ - 50 zł; za KRZYŻÓWKĘ - 50 zł;
za DIAGRAM - komplet kosmetyków. Odpowiedzi należy opatrzyć właściwymi dopiskami.

Nasz adres: Dom Prasy, 80-886 Gdańsk, Targ Drzewny 3/7, Biuro Konkursów.

Które z trzech przedstawionych figur można narysować jednym pociągnięciem pióra?

Oj, nielekkko...

Z wędką

Rok wędkarza można z grubsza podzielić na dwa podstawowe okresy. Pierwszy, od wiosny do jesieni to czas wzlotów, czas nadętego orla-sokoła, tropiciela, pana wszelkiego wodnego stworzenia. Kończy się on z nastaniem pierwszych mrozów, kiedy to nasz dzielny mocz stopniowo przechodzi w stan nikczemnienia. W pozycji karła, ciulacza, oszusta przeczekuje, rozmyśla, kombinuje bo przecie składki jeszcze nie opłacone, w sklepach nowe bajery, nowe patyki, coraz lepsze, coraz droższe a kobita - w zeszlodziwym płaszczyku, w posezonowych butach - nie wyasygnuje. Nie uiszc. Jak przechrzyć bidułę? Otóż długie lata doświadczeń, klęsk, wpadek musiały zaowocować jakimiś cwanymi pomysłami i tak: Najwygodniej załapać się na potajemne fuchy. Jakies nadgodziny, zleconka i wtedy sprawa jest stosunkowo prosta. Gorzej, kiedy takowych możliwości brak... Posuwamy się do podłego łgarstwa: „A wiesz, te chamy premię mi obcieli”... „Miałem w portfelu średnią krajową i jakiś oprych uszczuplił”... Można ewentualnie coś sprzedać ale ko-



Rys. Wiesław Matusek

mu? Gdzie? Rupieci w domu sporo. To fakt. Co za czasy - Każdy chce sprzedać, nikt nie chce kupić...

Jakoś w końcu brudny szmal zdobywamy i należy go umiejętnie wyprać tzn. doprowadzić do akceptacji nowego nabytku przez połowicę. To cholernie trudne zadanie. Najczęściej stosowany chwyt - na okazję nie zawsze zadziała. Bywają kobiety podejrliwe, nieufne i kiedy takiej powiemy „wiesz, trafiła się okazja... kupięm za grosze lekko zarysowaną, przecenioną wędkę...” Idzie sprawdzić. Leżymy... „Ja nie mam w czym chodzić a ty (...) sześć milionów za patyk...” Dlatego zawsze należy mieć swój, jeden, jedyny zaprzyjaźniony sklep, wtedy sprzedawca spokojnie, rzeczowo potwierdzi „oczywisty” fakt. „Tak, przypominam sobie, to ten kij spod regału, którego nikt nie chciał... jeszcze mu trochę dopłaciłem bo zawadzał.

Bywają wędkę znacznie droższe, po kilkadziesiąt milionów, ale takim czymś może się podnieść tylko bandyta-złodziej-szuler-zbój. Są tacy. Kupują. Niesie taki osobnik swój skarb, oczywiście w ogromnym futerale bo każda rysa to kilka milionów do tyłu, rozkłada ostrożnie, aby nie na piaseczek, łowi... Wzięło... Oooo k... taki sam krąp jak temu bambusiarzowi z lewej...

Niedługo wiosna, lato... Może lepiej kupić babie te zimowe buty?

Mat.

Szachy

Pod redakcją Piotra Sobolewskiego

W. Mażul



Mat w 2 pos. Kontrola diagramu: B: Kf5, Hd8, Ga1, Ga4, Sc6, Se8, p.: c5, d3, d4, d7; C: Kd5, We6, Sa8, Sc3, p.: a2, c7, e5, f7. Publikowane dziś drugie studium Waldemara Mażula na ubiegłorocznym kongresie polskich problemistów zdobyło czwartą nagrodę - myślę, że Państwu się spodoba. Docierają do mnie sygnały od Czytelników o nie otrzymaniu przez nich przyznanych im nagród w naszych konkursach. W związku

z powyższym uprzejmie proszę wszystkich, których nazwiska ukazały się wśród nagrodzonych, a którzy do tej chwili nie otrzymali przyznanej im nagrody o informację w tej sprawie. Nagrody wysła do Państwa biuro konkursów, z którym na co dzień nie mam żadnego kontaktu, zaś jedyną formą komunikacji było publikowanie przeze mnie nazwisk zwycięzców co było podstawą do wysłania nagrody. Proszę p. N. Brzozowskiego z Tczewa o potwierdzenie otrzymania nagrody dla syna (interweniowałem w tej sprawie) - otrzymałem sygnał, że nie otrzymał nagrody p. K. Kacperski - sprawę przekazałem do załatwienia. Jeżeli są inne podobne przypadki - proszę o sygnał. Dziękuję i przepraszam.

Raz na pół wieku

Pierwsze powojenne mistrzostwa Polski w szachach zorganizowane przez reaktywowany w Warszawie po wojennej zawieszce Polski Związek Szachowy, odbyły się w Sopocie w 1946 roku. Mistrzem Polski został wówczas nikomu nie znany student z Krakowa - Bogdan Sliwa, który następnie przez 20 lat był czołowym zawodnikiem a w latach 50 bezapelacyjnie najsilniejszym szachistą naszego kraju. Trzy lata później Sopot

ponownie gościł szachową elitę - tym razem rozegrano tu pierwsze w historii polskich szachów mistrzostwa Polski Juniorów. Od pierwszego sopockiego turnieju minęło pięćdziesiąt lat i oto staraniami Okręgowego Związku Szachowego w Gdańsku popartymi przez prezydenta Sopotu nadbałtycki kurort ponownie będzie gościł najsilniejszych szachistów naszego kraju. Miejscem batalii na 64 polach będzie tym razem inny sopocki hotel - Miramar, którego kierownictwo polubiło szachistów - dodać należy z wzajemnością. Wypada wspomnieć, że w historii finałów Mistrzostw Polski w Szachach turniej ten gościł na Wybrzeżu w następujących latach i miejscowościach: 1937- Jurata; I - K. Tartakower 1946- Sopot; I - B. Sliwa; 1973- Gdynia; I - K. Pytel; 1985- Gdynia; I - I. Nowak (po dogrywce); 1994- Gdańsk; I - W. Schmidt. Kto zostanie championem w tegorocznym finale? Proponuję Państwu konkurs - za tydzień podam nazwiska wszystkich finalistów zaś termin nadsyłania Państwa typów ustalimy na 10 marca - liczy się data stempla. Wręczenia nagród tym, którzy wytypowali prawidłowo dokonamy na uroczystym zakończeniu sopockiego finału, którego termin podam w rubryce 14.03.97. Dołożę starań aby na-

grode (nagrody) wręczał osobiście nowo kreowany mistrz Polski. Szachowe emocje rozpoczną się 9.03.97 zaś nowego mistrza Polski poznamy 24 marca. O przebiegu turnieju nasza gazeta będzie informowała na bieżąco - już teraz jednak zapraszam wszystkich sympatyków królewskiej gry do wspólnego kibicowania najlepszym - tym bardziej, że będą wśród nich dwaj gdańszczanie: arcymistrz Robert Kempański i mistrz międzynarodowy Piotr Murdza. A zatem do zobaczenia w Miramarze i... czekam na listy z Państwa typami!

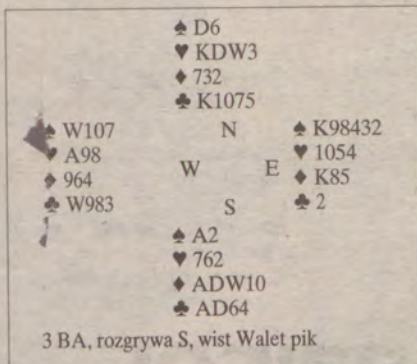
Przypominamy, że...

... 23 marca w Zakładowym Domu Kultury Morskiego Portu Handlowego Gdynia rozegrany zostanie kolejny turniej z cyklu GP TKKF Doker. Początek turnieju tradycyjnie o godzinie 11.

... 24 marca w Domu Kultury Kolejarskiej Gdynia Przymorze ul. Kołobrzeska rozegrany zostanie drugi z kolei turniej z popularnego cyklu GP Caissy. Zapisy od godz. 16 zaś początek turnieju tradycyjnie o godzinie 17.

Organizatorzy obu imprez tą drogą serdecznie zapraszają wszystkich miłośników królewskiej gry.

W brydżu jak w życiu



W rozdaniu przedstawionym na diagramie wygranie przez S 3 BA, nawet po wście waletem pik, wydaje się bezproblemowe. Po zgraniu asa i damy trefli układ trefli

Mistrzowska obrona

zostanie zdradzony, więc rozgrywający ma dwa dojścia do stołu, potrzebne do wyimpasowania króla karo. Weźmie po cztery lewy w kolorach młodszych oraz asa pik, razem dziewięć.

Rozdanie to zdarzyło się na regionalnym turnieju w USA. Na jednym ze stolików czołowy gracz USA przegrał 3 BA. Jak do tego doszło?

Aby to wyjaśnić trzeba podać licytację.

Licytacja			
N	E	S	W
-	-	1 BA	pas
2 trefl	pas	2 karo	pas
3 BA	pas	pas	pas

Atak waletem pik, dama, król przepuszczony, ale drugi pik został zabity asem, co

zdradziło, że rozgrywający ma drugiego asa. Gdy do zagranego asa trefl E dołożył do koloru, wiedział, że rozgrywający ma skład 2-3-4-4, więc gdy partner nie doda trefla za drugim razem, jego walet zostanie wyimpasowany. Dlatego gdy rozgrywający wyszedł po raz drugi w trefle damą, W wyrzucił bezwartościowego waleta. Rozgrywający dojrzał możliwość trzykrotnego dojścia do stołu, do trzykrotnego podegrania kar, co byłoby konieczne, gdyby E miał czwartego króla. Z takiej szansy nie zrezygnuje żaden dobry gracz. Nie zrezygnował też z niej zawodnik S. Po spadnięciu waleta trefl, będąc pewny, że trefle dzielą się 3:2 przejął damę królem i wpadł bez jednej, gdyż w treflach mógł wziąć już tylko trzy lewy.

Na podstawie: „Brydż '76”

(Z.P.)

Nie tylko dla filatelistów

Zamieszczamy aktualny datownik okolicznościowy, stosowany 19 bm. w Toruniu z okazji 80-lecia harcerstwa w tym mieście. We wrześniu ub.r. Opatów Kielecki, obchodzący 80 lat istnienia hufca harcerskiego na swoim terenie, stosował również pamiątkowy datownik. Temat harcerski w Polsce, skautow w innych krajach, pojawia się na znaczkach, kartkach pocztowych i datownikach. W polskim ruchu filatelistycznym istnieje klub zainteresowanych „Druh” przy ZO PZF w Warszawie. W 1991 r. Poczta Polska wydała 4-znaczkową serię projektu M. Piekarskiego, pokazując twórców tej pożytecznej organizacji i jej służbę Ojczyźnie. Na jednym znaczku mamy twórcę skautingu Roberta Baden Powella (1857-1941), na drugim - organizatora polskiego skautingu Andrzeja Ma-

łachowskiego (1889-1919), a na dwóch pozostałych znaczkach - kolejne, znaczące etapy służby harcerskiej Polsce: kilkunastoletni harcerzyk w 1920 r. na znaczku zatytułowanym „Straż nad Wisłą”. Na drugim znaczku - harcerz z Szarych Szeregów na powstańczej barykadzie Warszawy w 1944 r. Podobną współorganizatora Szarych Szeregów Aleksandra Kamińskiego (1903-1978) mieliśmy na znaczku kartki pocztowej. 22 VI ub.r. stosowano w Poznaniu datownik przypominający o 100. rocznicy urodzin harcmistrza Jana Popławskiego, a w tym roku zapowiedziano już datownik na 25 V w UP Wrocław 1 z hasłem: Biała służba ZHP na Kongresie Eucharystycznym. Taką właśnie „białą służbę” - pomocy mdlejącym, słabnącym ze zmęczenia i upału podczas pielgrzymek i innych tłumnych uroczystości - już niejednokrotnie pełniła młodzież w harcerskich mundurkach. Z lutowych datowników do uzyskania są jeszcze: stosowany

14 bm. w UP Oświęcim 1, Szczyrk 1, Wisła - III Ogólnopolska Olimpiada Młodych w sportach zimowych „Beskid 97”. W tym samym dniu stosowano w UP Włocławek 1 - „Walentynki - święto zakochanych”, a w UP Warszawa 1 - „Kocham cię!”. Za tydzień, 28 bm. w UP Warszawa 1 będzie używany datownik: 100 lat „Przeglądu Mleczarskiego” oraz nalepka polecenia „R” z dodrukiem (do wyczerpania nakładu 1000 sztuk). Filatelistyczną niespodzianką można komuś sprawić w kraju lub za granicą wysyłając list pocztą balonową, którą organizuje 29 IV Aeroklub Leszczyński, filateliści z Leszna i Poczta Polska z okazji obchodów 100-lecia pierwszego lotu balonem „Orzeł” na biegun północny. Listy będą przewiezione balonem w rejonie Leszna. (Dostarczone przez urząd pocztowy w Lesznie, w pobliżu miejsca startu balonu, będą odebrane przez inny urząd pocztowy w Lesznie, najbliższy miejsca

ładowania balonu i dalej wysłane już normalną drogą do adresata.) Oprócz zwykłych ostemplowań - na listach opłaconych przez nadawcę - o odbytych locie będą świadczyły: kasownik z nazwą balonu, oznaczenie numeratorem i stempel okolicznościowy. Bliższych informacji można zasięgnąć w Kole PZF w Lesznie skr. poczt. 7 oraz można tam zamówić w terminie do 15 III okolicznościową nalepkę. 30 IV Leszno obchodzi swe 450-lecie. Z tej okazji przewidziana jest poczta balonowa 30 IV na tych samych zasadach, co poprzednia.

(t)





Projekt Jonasa Zagorskasa z Litwy

Bloki pełne marzeń

Boczne ściany sześciopiętrowych bloków na Zaspie ozdobione zostaną kolorowymi malowidłami. Aby wykonać jeden gigantyczny obraz, artyści potrzebować będą sporo czasu - od dwóch tygodni do miesiąca.

Międzynarodowy konkurs na projekt malowidła ściennego na 1000-lecie Gdańska ogłosiła Pracownia Murales, działająca przy Nadbałtyckim Centrum Kultury w Gdańsku. Napłynęły prace z Łotwy, Litwy, Estonii, Szwecji, a nawet Meksyku. Spośród 35 nadesłanych projektów jury wybrało 12, które zostaną zrealizowane podczas Festiwalu Malarstwa Monumentalnego, jaki będzie trwał od 1

czerwca do 30 września tego roku. Autorzy wybranych prac otrzymają rekompensatę finansową za realizację dzieła oraz pomoc organizacyjną przy realizacji projektu.

Część pieniędzy na organizację festiwalu pochodzi z Komitetu Organizacyjnego Obchodów 1000-lecia Miasta Gdańska, reszta od sponsorów.

Katarzyna Żelazek



Mleczne przymaki

Specjalnie przygotowany zestaw dla najmłodszych klientów jest produkowany wyłącznie z naturalnych, pełnowartościowych surowców.

Każda z grup produktów reprezentowana jest przez wesołe zwierzątka, które serwują mleczne smakołyki o smakach, jakie dzieci lubią najbardziej, m.in. truskawkowym, bananowym i brzoskwiniowym.

Nasze wyroby są szczególnie cenione przez rodziców za to, że pod postacią słodkiego pysznego deseru mogą podać dziecku niezbędną dla jego zdrowia i prawidłowego rozwoju porcję mleka.



Wspaniały, słodki i odżywczy deser, gwarantujący energię i vitalność. Zdrowy smakołyk zamiast batonika.

Produkowany jest przy użyciu czystych kultur bakterii jogurtowych przez co wpływa korzystnie na cały układ pokarmowy i pomaga w rekonwalescencji po kuracji antybiotykowej.



Stanowi naturalną kombinację twarogu, śmietanki i owoców lub wanilii.

Ma uwielbianą przez dzieci konsystencję kremu: jest gęsty, aksamitny i delikatny.

Najlepszy sposób na drugie śniadanie, idealny deser lub słodka przekąska.



Unikatowa kompozycja ryżu na mleku i karmelu. Po podgrzaniu w naczyniu z ciepłą wodą lub w kuchence mikrofalowej, jest zdrowym i pożywnym posiłkiem rozpoczynającym każdy dzień.

Może być także podawany na zimno jako znakomity deser spożywany w szkole.



Produkt o smaku i jakości prawdziwego wiejskiego mleka. Jest źródłem energii, zdrowia i sił witalnych. Codzienne jego spożywanie wpływa na prawidłowy rozwój dziecka.

Mleko dostępne jest w kartoniku ze słomką, aby mogło towarzyszyć dziecku na podwórku, w szkole, na wycieczce, a także w domu.

SPECJALNIE DLA DZIECI MACIUŚ

2002864/A/320



Propozycja Kai Kaljo z Estonii



ZESPÓŁ BUDOWNICZYCH OSIEDLA
"PANORAMA" S.C. buduje:

- mały zespół mieszkaniowy w Gdyni Karwinach
- ciekawa lokalizacja
- trwałe, murowane z cegły budynki
- oryginalne rozwiązania mieszkań
- nowoczesne, bezpieczne instalacje
- indywidualnie ustalane warunki płatności
- własność hipoteczna mieszkań
- LOKALE USŁUGOWE

INWESTUJĄCYM W NIERUCHOMOŚCI PRZYPOMINAMY O ATRAKCYJNOŚCI TEGOROCZNEJ ULGI PODATKOWEJ

INFORMACJE I ZAPISY

BIURO BUDOWY: Gdynia, ul. Lipowa 5

tel. 29 • 50 • 30

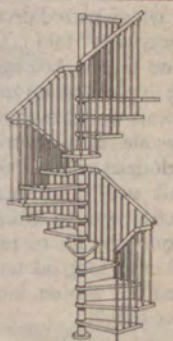
pn ÷ pt 9⁰⁰ ÷ 16⁰⁰

NOWOŚĆ!



SALON SPRZEDAŻY SCHODÓW

SOPOT
ul. NIEPODLEGŁOŚCI 735
TEL./FAX (058) 50-47-45
(069) 31-11-80
(069) 31-70-54



104/141/A/571